MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 45 WARSZAWA 22 PAŹDZIERNIKA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

ROZKŁAD LIGI NARODÓW

PRZYSZŁO to prędzej, niż się naogół spodziewano w Europie. Tyle wszak nadziei wiązano z instytucją, stworzoną z inicjatywy amerykańskiego prezydenta i opuszczoną tak rychło przez Amerykę. Zapowiadano, że stanie się ona organem nowej polityki, nowej dyplomacji, nowej moralności międzynarodowej... Tymczasem po kilkunastu latach pracowitego żywota jest Liga w pełni rozkładu. Pierwszy cios wymierzyła w nią Japonja, drugi Niemcy. Czyż można już dziś mówić o powszechnym związku państw i narodów, gdy nie należą doń Stany Zjednoczone, Japonja, Rosja i Niemcy, cztery wielkie mocarstwa światowe?

Los Ligi był wypisany w jej konstytucji i ideologji. Była ona kwiatem, wyrosłym z podłoża myślowego XIX stulecia, miała się stać narzędziem politycznem lóż i stojącego poza lożami żydostwa. Dziś nie jest już tajemnicą, że pomysł organizacji Ligi powstał w łonie wolnomularstwa, że przedyskutowano go i opracowano w lożach, zanim się zjawił na porządku dziennym Konferencji pokojowej. Prezydent Wilson był li tylko narzędziem, przy którego pomocy Sekta narzuciła swój plan wyczerpanym wojną narodom.

Stała się później Liga fundamentem tej polityki, jaką państwa zwycięskie poprowadziły po wojnie. Miała też ona jeszcze sens pozytywny dopóty, dopóki była organizacją państw zwycięskiej koalicji, do pewnego stopnia przedłużeniem Konferencji pokojowej. Sens ten utraciła z chwilą przyjęcia do swego łona Niemiec. Od tego czasu, przez nią państwa zwycięskie traciły po kolei wszystkie owoce swego zwycięstwa, a Niemcy zdobywały to, co im było potrzebne do odbudowy swych sił i swego znaczenia politycznego w świecie.

Z krótkiemi a niesławnemi dziejami Ligi Narodów będą nierozerwalnie związane dwa nazwiska: Brianda i Stresemanna. Ich rozmowy w Thoiry pod Genewą, odsłonięte dziś w pamiętnikach Stresemanna, urastają do wielkości symbolu. Byli ci dwaj ludzie pozornie wyznawcami jednej i tej samej ideologji, należeli obydwaj do masonerji, wychodzili w swych retorycznych wystąpieniach z tych samych założeń. Stary cynik francuski miał doprawdy polot apostoła, gdy wołał z trybuny genewskiej — „precz z karabinami i armatami“, gdy odwoływał się do uczuć wszechbraterstwa i miłości pokoju; mądry uczeń Bismarcka i wyznawca zasad pruskiej polityki, bystry i przebiegły „bursz“ niemiecki, wyzyskujący popularną wiarę genewską i lokarneńską dla interesów swej ojczyzny, nie był pozbawiony akcentów szczerości, gdy mówił o pokoju, o ludzkości i o Wielkim Budowniczym świata...

A jednak we współpracy tych dwu ludzi, reprezentatywnych dla swego czasu i dla swych narodów w tym właśnie czasie, ujawniła się z całą jasnością różnica dwu polityk, których wynikiem jest osłabienie Francji, a wzmocnienie Niemiec i wyrośnięcie tych ostatnich na potęgę już dziś zagrażającą pokojowi europejskiemu. Brianda określi przyszły historyk jako najszkodliwszego człowieka nietylko dla Francji, lecz dla całej Europy. Będąc kierownikiem polityki zwycięskiego państwa, które, dzięki heroizmowi swego ludu i wielkiej wiedzy wojskowej swych wodzów, trzymało losy Europy powojennej w swem ręku, sprawił, że zwycięstwo, okupione olbrzymiemi ofiarami, zostało w znacznym stopniu zmarnowane. Francja została polityką briandowską zdemoralizowana politycznie, wypuściła ze swych rąk potężne atuty, które za-

pewniały jej pierwsze miejsce w gronie narodów kontynentu europejskiego, przedewszystkiem okupację wojskową Nadrenji... Stresemann, obrzucany obelgami i poniewierany przez swych rodaków, jest jednak sprawcą odrodzenia powojennego Niemiec. Zrozumiał on, iż położenie polityczne światowe i słabość Niemiec nie pozwalają im na politykę ostrą i stanowczą. Przystosował się genjalnie do sytuacji, wyzyskał panujące prądy, wygrał znakomicie efekt wiary powszechnej w Ligę i jej święte zasady. W imię tych zasad uzyskał opróżnienie Nadrenji, skasowanie odszkodowań, w imię tych zasad uzyskali dalsze ustępstwa jego następcy... Dziś zaś, gdy genewskość i lokarneńskość dały Niemcom wszystko, czego się po nich mogli spodziewać, spadkobiercy Stresemanna odrzucają te zużyte świętości, występują z Ligi i stają na gruncie odwiecznych metod politycznych, tych, które jedynie bywały skuteczne w życiu państw i narodów.

Liga rozkłada się nie na skutek błędów jej kierownictwa lub złej woli narodów. Rozkłada się najpierw dlatego, że była zbudowana na złudzeniach i błędnych założeniach myślowych, a następnie dlatego, że spełniła swoją rolę—przeprowadzenia odbudowy sił niemieckich—i jest już niepotrzebna. W nowej Europie ginie wiara w ideologję wieku XIX, czyż jest rzeczą dziwną, że nie może istnieć w swej pierwotnej postaci Liga, która jest najpiękniejszym kwiatem, wyrosłym na podłożu tej ideologji? Fatalizm takiego rozwoju wydarzeń można było przewidzieć zgóry, trudno tylko było przepowiedzieć, jak się to stanie, kogo sobie los wybierze za narzędzie do spełnienia tego, co było koniecznością dziejową, bo leżało w naturze rzeczy.

Byłem w Genewie, gdy wszczął się na tamtejszym terenie spór chińsko-japoński. Przysłuchiwałem się z ciekawością przemówieniom przedstawicieli dwu państw azjatyckich. Nie zapomnę nigdy tego wyraźnego wrażenia, że jestem świadkiem początku wielkich wydarzeń na terenie Ligi. Rozkład czuć było w powietrzu. Dałem temu wówczas wyraz w swych korespondencjach do „Gazety Warszawskiej". I stały się później rzeczy nieuniknione: okazało się, że Liga nie jest zdolna do odegrania tej roli, jaką jej przeznaczono; nie mogła załatwić konfliktu chińsko-japońskiego, a próba narzucenia czegokolwiek Japonji skończyła się wystąpieniem tej ostatniej z Ligi. To było pierwsze ostrzeżenie, po niem nastąpił cios z ręki Niemiec, które wyzyskały Genewę doskonale, a potem odrzuciły ją, jak wyciśniętą cytrynę.

Rozkład Ligi Narodów — oto na co przedewszystkiem należy zwrócić uwagę, gdy się myśli o ostatniem posunięciu niemieckiem. I nie będziemy ronili łez nad zmierzchem Genewy w życiu politycznem świata; może on wydać nawet dobre rezultaty, jeśli wywoła otrzeźwienie wśród tych, co całą swoją politykę oparli na Lidze i jej metodach. Byłby to cios nielada dla Niemiec, gdyby takie otrzeźwienie nastąpiło i zysk nielada dla tych wszystkich państw, które są zagrożone przez Niemcy.

Niestety, nie mogę być pod tym względem optymistą. Bogi genewskie i lokarneńskie mają jeszcze wielu szczerych wyznawców, a te czynniki, na których się opiera ideologja wieku XIX i jej narzędzie: Liga (jeśli chodzi o politykę międzynarodową), są jeszcze bardzo silne. Trzeba będzie silniejszych wstrząsów i większych klęsk, ażeby odsunąć od wpływu w państwach zachodnioeuropejskich te sfery, które są organicznie związane z tem wszystkiem, na czem się opiera i czego wykwitem jest Liga.

Los instytucji genewskiej jest przesądzony, staje się ona coraz większym anachronizmem we współczesnej Europie. Lecz agonja jej będzie długa i ciężka. Produkty zaś rozkładu Ligi mogą jeszcze poważnie i długo zatruwać życie tych narodów, które nie nawrócą do zdrowych, odwiecznych prawd z dziedziny polityki międzynarodowej.

STANISŁAW KOZICKI

TEORETYCZNE PODSTAWY EKONOMJI SPANNA

JEDNYM z najbardziej oryginalnych ekonomistów i socjologów doby dzisiejszej jest Othmar Spann, profesor uniwersytetu wiedeńskiego i twórca kierunku, zwanego uniwersalizmem. Jest on niemal całkiem nieznany w Polsce, mimo że teorje jego, zarówno z dziedziny ekonomji, jak i socjologji zasługuje na baczną uwagę. Pragniemy więc zapoznać z niemi naszych czytelników, na początku zaś poinformować ich o zasadach, na których się opiera ekonomja Spanna.

Punktem wyjścia rozumowań Spanna, zresztą nietylko w dziedzinie ekonomicznej, jest uznanie zbiorowości za zjawisko pierwotne i ważniejsze od jednostki, która jest dopiero czemś pochodnem, czemś, co winno służyć i spełniać cele, jakie stoją przed zbiorowością. Ten punkt wyjścia nadaje właściwe piętno również rozumowaniom Spanna w dziedzinie ekonomicznej.

Religję, naukę, sztukę, gospodarstwo społeczne nazywa Spann systemem organów społeczeństwa. Jedne z nich prowadzą do urzeczywistnienia celów społecznych, drugie przygotowują środki, mające służyć realizacji tych celów. Tę drugą dziedzinę obejmuje właśnie gospodarstwo społeczne.

W społeczeństwie niema jednak celu, do któregoby zmierzała cała działalność społeczeństwa. Przeciwnie, mamy do czynienia z dużą ilością zróżniczkowanych celów. Tworzą one pewien system celów społecznych, posiadający właściwą sobie hierarchję. W hierarchji tej są cele wyższe obok celów niższych. Te ostatnie, nie przestając być w swoim zakresie celami społecznemi, mogą być

obok tego środkami, prowadzącemi do osiągnięcia celów wyższych.

Również środki, służące do osiągania celów społecznych, mogą być rozklasyfikowane. Przedewszystkiem wchodzą w grę dwie kategorje: 1) środki, które same w sobie nie mają wartości, a których wartość zależy jedynie od celu, jaki mają zrealizować; do tej kategorji należą w zasadzie dobra materjalne, jak węgiel, żelazo itp. 2) środki, które jednocześnie są celami, a więc mają obok wartości pochodnej wartość własną. Dzielą się one z kolei rzeczy na cztery grupy: a) praca, b) kultura fizyczna, c) działalność państwowa, d) wychowanie publiczne.

Można jednak środki rozklasyfikować według celów, jakie mają spełniać. Wtedy rozróżniamy: 1) środki, realizujące cele biologiczne np. pożywienie, 2) środki, realizujące cele kulturalne np. badania naukowe, 3) środki, mające zapewnić elementarną organizację np. rodzina i inne związki społeczne, 4) środki, mające zapewnić organizacje wyższego stopnia, 5) wreszcie środki, prowadzące do wychowywania.

W nauce o celach społecznych i środkach gospodarczych, stanowiącej punkt wyjścia teorji ekonomji Spanna, kładzie on ciągle nacisk na podporządkowanie systemu środków systemowi celów i w tem jest w rażącej sprzeczności z nauką ekonomji, zarówno sformułowaną przez klasyczny liberalizm, jak i marxowski socjalizm.

Ilość celów społecznych do zrealizowania jest nieograniczona, natomiast ściśle ograniczona jest ilość środków gospodarczych. Dlatego człowiek realizuje tylko te cele, które uważa za pilniejsze. Gospodarstwo zaś społeczne jest organizacją całokształtu środków, mającą na celu osiągnięcie całokształtu celów.

Każdy środek spełnia ściśle określoną rolę w organizmie gospodarczym. Środki są ciągle zużywane i zastępowane przez nowe środki tego samego rodzaju. Mamy więc do czynienia ze stałym ciągiem funkcyj, jak np. w fabryce, gdzie surowce, energja mechaniczna, praca ludzka itp. ciągle pracują nad spełnieniem tych samych celów, gdy tymczasem wchodzą w grę coraz to nowe środki funkcyjne. Środek, wykonany przez nas dla spełnienia w społeczeństwie określonego celu, stanowi funkcję produktywną w organizmie gospodarczym. Funkcje produktywne tworzą organizm funkcyj. Całokształt tych funkcyj, to gospodarstwo społeczne.

Określony cel można osiągnąć szeregiem środków. Ich wyboru można dokonać, mając określony całokształt środków. Dla spełnienia określonego celu wybiera się z pośród nich ten, który najlepiej służy do spełnienia danego zadania t. zn. posiadający największą intensywność funkcjonalną. Z drugiej strony dany środek bywa użyty do spełnienia celu, który w danym czasie jest najważniejszy. Środek, w danym wypadku najodpowiedniejszy, jest najbardziej pożytecznym.

Wśród funkcyj rozróżniamy takie, które do swej realizacji potrzebują tylko pracy, oraz takie, które obok pracy wymagają pewnych dóbr, t. zn. kapitału. Wśród środków, jako czynników funkcjonalnych, rozróżniamy bierne i czynne. Bierny jest zawsze kapitał i często również praca, np. praca robotnika obsługującego maszynę. Czynną może być tylko praca, np. praca rzemieślnika, brana w stosunku do jego warsztatu, praca dyrektora fabryki w stosunku do tej fabryki itp. Ta sama praca, będąca elementem funkcjonalnym, czynnym w stosunku do mniejszej całości, może stać się elementem biernym w stosunku do całości większej.

Klasyfikując funkcje gospodarcze dochodzimy do ustalenia następujących ich rodzajów: 1) funkcje bezpośrednie, t. zn. takie, które bezpośrednio realizują jakiś cel ostateczny, 2) funkcje pośrednie, które bezpośrednio nie realizują celu ostatecznego, ale jedynie przygotowują funkcje bezpośrednie; 3) funkcje organizacyjne, które włączają się w system środków gospodarczych, aby kierować innemi funkcjami, do tej kategorji należą między innemi funkcje prawne, społeczne-polityczne itp., które jednak, o ile wkraczają w dziedzinę gospodarczą, tracą własne cele, a stają się środkami gospodarczemi; 4) funkcje przygotowawcze, które zwiększają zdolność produkcyjną, tu należą wynalazki, szkolnictwo zawodowe itp. 5) wreszcie funkcje bezpieczeństwa, spełniane w znacznym stopniu przez państwo; do tej kategorji należą: zapewnienie porządku prawnego, asekuracja, zarządzenia, zabezpieczające od powodzi itp.

Poszczególna funkcja gospodarcza nie wchodzi prawie nigdy sama w grę, ale jest częścią ciągu funkcyj, zmierzających do jednego celu. Jedne bowiem środki są zużywane po to, żeby wytworzyć inne. Zdaniem Spanna, proces spożycia jest jednocześnie procesem produkcji i odwrotnie.

Tem, co skłania do stosowania tych właśnie, a nie innych funkcyj jest ich produktywność, t. zn. zdolność ich do realizowania celów. Produktywność zależy również od znaczenia celów, jakie dane funkcje spełniają. Jak wiadomo, odróżnia się tu funkcje czynne i bierne. Analogicznie do tego odróżniamy produktywność aktywną, która powoduje powstanie innej produktywności, od produktywności biernej, która sama uwarunkowana jest przez produktywność inną. Większe znaczenie ma oczywiście produktywność czynna. Obok tego odróżniamy produktywność potencjalną, jaką posiadać mogą: klimat, rasa, zdolności umysłowe itp. od produktywności kinetycznej, która się już przejawia w działaniu. Wreszcie musimy odróżnić produktywność, wziętą z punktu widzenia poszczególnego przedsiębiorstwa, czyli rentowność, od produktywności, wziętej z punktu widzenia gospodarstwa społecznego jako całości. Te dwa rodzaje produktywności nie muszą się przejawiać jednocześnie, przeciwnie, bardzo często nie chodzą z sobą w parze.

Poszczególne funkcje gospodarcze tworzą pewne jednostki funkcjonalne. Np. w gospodarstwie rodzinnem funkcje gospodarcze ojca, matki i dzieci tworzą jednostkę funkcjonalną, służącą do realizacji celów społecznych, najbardziej pożądanych. To samo ma miejsce w gospodarstwie zawodowym. Wśród jednostek funkcjonalnych odróżniamy jednostki funkcjonalne monogenetyczne, t. zn. służące realizacji jednego systemu celów, od jednostek funkcjonalnych poligenetycznych, służących realizacji dwu lub więcej systemów celów.

Jednostki monogenetyczne służą realizacji jednego celu przy pomocy różnorodnych funkcyj. Proporcja tych funkcyj jest różna w zależności od jednostki monogenetycznej. Pomiędzy poszczególnemi funkcjami w ramach danej jednostki potencjonalnej istnieje ścisła współzależność. Prawo współzależności funkcyj jest według Spanna podstawowem prawem ekonomicznym. W szczególno-

ści odróżniamy współzależność twórczą, polegającą na naśladowaniu przez jednostki prymitywniejsze jednostek bardziej ukształtowanych.

Życie jednostek monogenetycznych przejawia się, według Spanna, w działalności różnych elementów funkcjonalnych, wykonywających swe funkcje. Z chwilą wykonania tych wszystkich funkcyj, jednostka monogenetyczna spełniła swą rolę i umiera. Przeważnie jednak cel, który jej przyświecał, powstaje na nowo i wszystkie funkcje zaczynają działać na nowo. Życie jednostek monogenetycznych polega na ciągłem powtarzaniu się celów, wprawiających w ruch środki, zgrupowane w danej jednostce monogenetycznej i powoływujących ją na nowo do życia. Jeśli cele i środki pozostają w zasadzie te same, a więc jednostka monogenetyczna pozostaje ta sama — mówimy o cyklu gospodarki monogenetycznej, albo o perjodyczności gospodarki. O ile natomiast czy to cele, czy środki ulegają zmianie, a więc ulega zmianie sama jednostka monogenetyczna, gdyż jest zastępowana przez inną jednostkę monogenetyczną, spełniającą podobne cele, wtedy mówimy o rozwoju gospodarki, czyli o zmianie funkcyj.

Poszczególne jednostki monogenetyczne wchodzą we wzajemne między sobą stosunki, polegające na wymianie funkcyj. Te stosunki, mające cechy trwałości, tworzą z tych jednostek monogenetycznych jednostkę wyższego rzędu, zwaną jednostką poligenetyczną, to znaczy służącą większej ilości systemów celów. Tak więc jednostki monogenetyczne w tym zakresie, w jakim biorą udział we wzajemnej wymianie funkcyj, stają się członkami jednostek poligenetycznych, nie tracąc jednak własnego samodzielnego istnienia. Gospodarstwo narodowe, jako najwyższa jednostka, łączy w sobie jednostki monogenetyczne i poligenetyczne.

Poszczególne funkcje różnych jednostek monogenetycznych, stanowiących jedną jednostkę poligenetyczną, winne być między sobą w pewnej właściwej proporcji. Nazywamy to współzależnością poligenetyczną. Obok tego jednak w jednostkach poligenetycznych ma miejsce współzależność twórcza, o której była mowa wyżej.

Jednostki poligenetyczne bezpośrednio nie mają na celu realizacji celów, jednakowoż spełniają one pewne funkcje. Wobec braku własnych celów, funkcje jednostek poligenetycznych nie giną w nich, tylko odnajdują się w jednostkach monogenetycznych. Funkcje jednostek poligenetycznych noszą przedewszystkiem charakter funkcyj organizacyjnych.

Wymiana funkcyj pomiędzy dwiema jednostkami monogenetycznemi w ramach jednostki poligenetycznej następuje tylko wtedy, gdy obie jednostki monogenetyczne na tem zyskują. Jest to możliwe dlatego, że intensywność funkcyj w różnych jednostkach monogenetycznych jest różna.

Wśród jednostek monogenetycznych i poligenetycznych różna jest odporność na wstrząsy, jakie dotykają gospodarstwo społeczne. Odporność tę nazywa Spann intensywnością morfologiczną. Z reguły gospodarka zamknięta ma intensywność morfologiczną większą od gospodarki wolnej. W gospodarce zaś wolnej jednostki monogenetyczne mają intensywność morfologiczną większą od poligenetycznych, wśród jednostek monogenetycznych te, które służą celom bardziej niezbędnym.

Spann odrzuca klasyczny podział ekonomji na produkcję, wymianę i konsumcję, a wzamian za to wskazuje podział następujący:

1) System funkcyj produkcji, który bynajmniej nie jest równoznaczny z produkcją w sensie ekonomji klasycznej. Rozróżniamy w nim system pierwotny (monogenetyczny) funkcyj produkcji (*Werkreife*) — „produkcja“ w klasycznem pojęciu; system pośredni (poligenetyczny) funkcyj produkcji (*Makrtreife*) — odpowiadający klasycznej „wymianie“, oraz system ostateczny (monogenetyczny) funkcyj produkcji (*Genussreife*), przygotowujący ostatecznie przedmioty do spożycia.

2) System funkcyj organizacyjnych.

3) System funkcyj przygotowawczych.

Te poszczególne systemy są do siebie w stosunku hierarchicznym. Pierwszeństwo logiczne ma, przed innemi, system funkcyj organizacyjnych, gdyż bez gospodarki niema wogóle działalności gospodarczej. System funkcyj przygotowawczych ma pierwszeństwo przed systemem funkcyj produkcyjnych. Wreszcie w ramach tego ostatniego, system produkcji końcowej przed systemem wymiany, system wymiany przed systemem produkcji pierwotnej.

J. PRUS

PRZYGODY BŁĘDNEGO RYCERZA

(Dokończenie)

5

PRZYPUSZCZAĆ można, że tego lata 1844 r. Norwid spotkał się z p. Kalergis. Odtąd prace artysty, tak dobrze zaczęte, ustąpiły miejsca szaleństwu. Gdyby spotkanie nastąpiło kilka lat potem, kiedy pani Marja była już gwiazdą wielkiego świata politycznego, wypatrywaną przez panujących i dyplomatów, to niewątpliwie poeta z Warszawy nie miałby do niej dostępu tak łatwego. Ale podczas pierwszej swej podróży piękna dama szukała towarzystwa polskiego. I jej i jej towarzyszce, pannie Marji Trembickiej, miło było gwarzyć z kimś z Warszawy, do tego z artystą świetnie zapowiadającym się, a towarzysko tak poprawnym.

Doszło wnet do pewnej zażyłości, skoro widzimy go w tem towarzystwie i we Włoszech i znowu w Berlinie. Czasem są rozbawieni po młodzieńczemu, — panie dają poecie miano *Gamin*. W komedyjce „Noc tysiączna i druga“ list p. Kalergis jest zapewne skomponowany, ale napewno wiernie oddaje charakter tego przyjacielskiego stosunku. Piękna pani zasypuje zleceniami:

„Proszę Cię, ażebyś będąc w Neapolu, odwiedził księżnę Olimpję... Książki moje są u niej — mniejsza o inne — idzie mi tylko najszczególniej o trzeci tom Rychtera... Czy klacz moją koleją żelazną, czy morzem wyprawić — o tem wszystkiem racz pomyśleć proszę. Kilka rysunków, które mi przyniesiono w dzień wyjazdu, i błogosławieństwo Papieskie z różańcami na kominku w salonie mniejszym zapomniałam — wszyscy cię tu najczulej wspominamy — osobliwie przy her-

bacie — *à propos* — połowę listu twego tak gdzieś zarzuciłam, że tylko drugą połowę mam przed oczyma, ale pamiętam, że piszesz mi coś o sercu twojem i o miłości — tak tu właśnie w tym pokoju i taki nieład przedwyjezdny, ale zato widok przecudowny“ [1])...

Dopiero w *post scriptum* roztargniona niewiasta wraca do sprawy miłości, a z aforyzmów jej wynika, że właściwie uczucia kobiety i mężczyzny nigdy spotkać się nie mogą. „Wasz punkt wyjścia jest naszym kresem drogi. Jakże więc spotkać się na świecie“. Ot, aby coś powiedzieć. W dodatku, tej drugiej kartki listu zapomniała włożyć do koperty; adresat odnalazł ją potem przypadkiem w hotelu (pod Weroną), gdzie list był pisany. Zaklejono tą kartką stłuczoną szybę.

Poeta z żółcią ironizował, ale dla nas ma to znaczenie, że sam tak stosunek ukochanej do siebie szacował. Ten list pisany miał być w r. 1845; w następnym roku już niedwuznacznie wyjaśniło się zerwanie; na listy nie było już wcale odpowiedzi: a jednak mamy dowód w owym wierszu o Polce, że poeta jeszcze w r. 1849 łudzi się i czeka. Dla niej pewno przybył z Włoch do Paryża[2]).

Pani Kalergis miała wiele respektu dla talentów, zwłaszcza dla rozgłośnych. Było w tem wiele snobizmu, ale też i wiele pokory wobec sztuki. Z upodobaniem obcowali z nią wielcy artyści: Alfred de Musset, Gautier, Heine, zwłaszcza muzycy, jak Liszt, Szopen, Wagner, malarz Delacroix. Adorowała muzyków, w przyjacielskich stosunkach pozostawała z Lisztem, patronowała Wagnerowi w r. 1845 na premjerze „Tannhäusera”, najbliżej bodaj była z Mussetem. Ale mogło do głowy jej nie przyjść, że Norwid chciałby od niej czegoś głębszego, niż uśmiech, aczkolwiek ze względu na Warszawę stosunek był poufalszy. Nie imponował jej sławą, a nie brała w rachubę jego drażliwości, nie brała go na serjo. Brała go tak, jak on sam pragnął się przedstawić, a więc za panicza ze swojej sfery. Kaprysy jej nie znały skrupułów, jeśli chodziło o mężczyzn, zaprzęgających się do jej rydwanu. Opowiadano o magnacie polskim, który chcąc zyskać wdzięczny uśmiech na obliczu pięknej damy, sprowadzał dla niej wspaniałe fortepiany na miejsce postoju dyliżansów w czasie jej podróży po Europie. Stracił na podobne zabiegi koło p. Kalergis cały majątek [2]).

Niewątpliwie sprawiało rozkosz słuchanie jej gry na fortepianie; znakomitą była pianistką; wielki Wagner utrzymywał, że nie słyszał lepszego wykonawcy dzieł Szopena. Uwielbienie Norwida dla Szopena pewno stąd pochodziło, że ona nauczyła go piękno tej muzyki rozumieć. Naogół jednak było to towarzystwo dla Norwida nieodpowiednie. Pani Kalergis nie widziała świata poza muzyką, sztuką obcowania i lustrem. Podróżowała z Norwidem, który umiał patrzeć, a przecież ci, co ją znali, utrzymywali o niej, że w podróżach, które były jej nałogiem, zajmowały ją więcej miasta, niż kraje, w miastach interesowała się tylko ludźmi, właściwie z pośród nich tylko sławnemi jednostkami. Piękno przyrody nie robiło na niej żadnego wrażenia [3]). Więc pytanie, czego Norwid szukał w duszy tej czarodziejki, pozostaje bez odpowiedzi. Czar piękna kobiecego mu wystarczał i piękno sztuki towarzyskiej. Jest to znamienne, że nie zrażał go wzgląd na sferę, z której p. Kalergis pochodziła. Łatwo było przecież rozpoznać, pomimo stylizacji na patrjotyzm polski, że jest z wychowania produktem wielkiego świata kosmopolitycznego, mającym swój kurs bardzo daleki od przeznaczeń, jakie mu chciał dać Norwid, przez ofiarowanie swego serca [4]).

6

Podróż Nesselrodówny po Europie nie mogła się odbywać *incognito*. Sama łatwość, z jaką hr. Kalergis zawiązywała stosunki, świadczy, że miała drogę zgóry ułatwioną. Podróżowała wychowanica wielkiego kanclerza Rosji, tego, który był żandarmem Europy, z którym liczyć się musiały gabinety wszystkich państw. Można też zrozumieć obawy ojca, gen. Fryderyka hr. Nesselrode, czy córka nie skompromituje ich obu, i ojca i stryja. Skóra im obu cierpła na myśl, że ich pupilka może zagranicą zdradzić się ze swemi, po matce, skłonnościami polskiemi. Były to w ich mniemaniu kaprysy chwilowe, kaprysy w stylu romantycznym, więc modnym, ale przecież dla nich byłyby skandalem. Cóż bowiem było istotą polityki kanclerza Nesselrode od r. 1812, jak nie dławienie kaprysów polskich? Ileż on założył protestów w Paryżu przeciwko roztaczaniu protektoratu nad emigracją polską, ileż ostrzeżeń posyłał Turcji, aby usunęła z Konstantynopola emigrantów polskich! Polska nie istniała, a jednak nie dawała spokoju; widmo sprawy polskiej błąkało się po Europie. Trzebaż było nieszczęścia, żeby Nesselrodówna uległa jej urokowi. Z zainteresowaniem tedy przeczytamy raport rodzinny Fr. hr. Nesselrode o tej podróży. Pisał go w Badenie 23 kwietnia 1846 r. do p. Karolowej Nesselrode, bawiącej gdzieś zagranicą. Oto jak medal wyglądał z tej strony [5]):

„Moja córka opuściła Warszawę 1-go czerwca 1844 r. Co do jej opinij politycznych panował spokój zupełny: nikt się nie domyślał, jakiej były barwy. Jako mentorkę przydzieliłem jej córkę pewnego generała polskiego, zabitego podczas rewolucji przez samych powstańców — jego rodaków — ponieważ nie chciał zdradzić swego suwerena [6]). Jest to osoba rozsądna, wykształcona, wychowana na wsi, na Litwie, osoba, która nigdy nie zaznała pokus wielkiego świata — niepospolita brzydula (*laideron par excellence*), nie pochopna zatem — jak to sobie wyobrażałem, do jakiejkolwiek egzaltacji.

Cóż się stało? Po półtorarocznym pobycie wróciły obie zwarjowane. Druga zresztą mniej, ale moja córka — powiadam Pani, kompletna warjatka, bardziej ultra-Polka od starego Lelewela, bardziej ultra-katoliczka niż sam papież. Oto owoc

---

[1]) C. N. „Pism zebranych“—t. C., str. 16.

[2]) Pani Kalergis w 1848 r. pochowała w Paryżu swoją matkę, Teklę Gorską, która srogo odpokutowała za związek swój z gen. Nesserode. Pozbawiona dziecka, wyświecona z domu rosyjskiego Polka, zmarła jako banitka. Gautier widywał jej córkę w białym kolorze. Można sobie wyobrazić, jak bardzo jej było do twarzy w czarnej żałobnej sukni.

[2]) A. Krechowiecki „O Cyprjanie Norwidzie“, I, 27.

[3]) Photiadès, l. c., s. 64.

[4]) Biograf p. Kalergis zastanawia się nad mieszaniną ras w jej krwi. Zagranicą uważano ją, zwłaszcza później, od r. 1848, za Rosjankę, ojciec był naturalizowanym Rosjaninem, ale z urodzenia Niemcem z nad Renu, matka była Polką. Córka p. Kalergis miała — prócz tych pierwiastków, krew grecką po ojcu i szwedzką po matce ojca (Jorgensen). Wyszła za mąż za hr. Coudenhove, pochodzenia zdaje się holenderskiego. Syn jej, a wnuk p. Kalergis, mógł ożenić się z Francuzką, nie wiem — może z Rumunką. To jednak pewne, że obecnie żyjący hr. Coudenhove - Calergis, potomek tamtych, znany polityk, ma w sobie krew całej Europy. Nic tedy dziwnego, że, czując się dzieckiem wszystkich narodów europejskich, pragnie je skojarzyć w jedną Paneuropę.

[5]) Photiadès, l. c., 185 i n.

[6]) Marja Trembicka (ur. 1822), córka generała T. Trembickiego, zabitego przez podchorążych 29 listopada 1830 r.

życia na obczyźnie. Dlatego tak nie cierpię, gdy młodzież podróżuje w epoce, w której żyjemy. Oto rezultaty.

Za Marją, dokądkolwiek podróżowała, włóczyła się cała czereda młodych Polaków — Braniccy, Potoccy, Potuliccy etc. Widywała najwścieklejszych emigrantów, jak Władysław Zamoyski, księżna Wirtemberska (siostra Czartoryskiego), wreszcie w Rzymie — księży rewolucyjnych: Semenenkę, Jałowieckiego etc. Jakże Pani chce, żeby nie podlegała ich wpływom?

Marja ma dużo wdzięku, muszę jej to sam przyznać, że jest czarująca. Ale myli się bardzo, sądząc, że powodzenie u owych panów zawdzięcza przedewszystkiem swemu urokowi. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że owym ludziom zależy na skompromitowaniu siostrzenicy kanclerza rosyjskiego i na pokazaniu całemu światu, że ona również podziela ich przekonania.

Drugą niewłaściwością w tych podróżach jest to, że ma Pani ciągle przed oczyma kupy dzienników i gazet, zawierających okropności przeciwko Rosji — najstraszliwsze potwarze. Czytając je raz po raz, wierzy Pani w końcu, że są prawdziwe. Marja, odżywiając się taką lekturą, widzi w Polsce wszędzie prześladowania najokropniejsze religji katolickiej, podczas gdy nikomu się o nich nawet nie śni.

Gdyby się na to zanosiło, wiedziałbym coś o tem, ale powtarzam — to wszystko nieprawda.

Wracając do Marji — muszę Pani powiedzieć całą prawdę. Rzeczy zaszły tak daleko, że jej pozycja w Warszawie, przynajmniej w tej chwili—stała się niemożliwa (zresztą o tem ona sama opowie Pani szczegółowo). Na szczęście otrzymała paszport zagraniczny... Wyjechałem tedy 20 marca (1 kwietnia), a opuściłem Warszawę nieco później i podczas katolickiego Wielkiego Tygodnia odnalazłem ją w Dreźnie, dokąd przybyła w celach dewocyjnych.“

Z listu tego można wnosić, że p. Kalergis dobrze była śledzona zagranicą, o każdym jej kroku wiedziano w Warszawie, i o ludziach, z którymi miała styczność, wiedziano też pewno dobrze i o Norwidzie. Ojciec pewno ją wezwał do powrotu pod koniec 1845 r. i niewątpliwie rekolekcje polityczne, które zastosował, były skuteczne, skoro córka, pomimo buntów, ustąpiła. Przestraszyły ją wypadki w Galicji i w Poznaniu, resztę zrobił wpływ ojca. A ten się nie ceremonjował, skoro — jeśli wierzyć relacjom współczesnych — potrafił używać żandarmów swoich do poskramiania córki. Głośno było o rewizji, dokonanej w jej mieszkaniu [7]). Jeżeli były tam listy Norwida, to i one wpadły w ręce szefa żandarmerji.

Po porozumieniu z kanclerzem uznano, że jednak lepiej będzie, gdy p. Kalergis przebywać będzie zagranicą poza atmosferą warszawską. Jak widzimy, na wiosnę 1846 zaczyna się nowa serja jej podróży. Ale już ma inne poglądy na sprawę polską. Pani kanclerzowa hr. Nesselrode, spotkawszy się z nią w Ischlu, z zadowoleniem stwierdziła tę korzystną zmianę. Siostrzenica jej wyznała, że „o ile marzyła przedtem o wskrzeszeniu tego kraju, o tyle teraz tego nie pragnie, ponieważ naród jest to rzecz całkiem demagogiczna“ [8]).

Stryj kanclerz i stryjenka stali się napowrót oddanymi jej protektorami. Stary dyplomata poznał się na talentach kuzynki i z upodobaniem wczytywał się w jej długie listy. Szereg lat odgrywała rolę jego zaufanej informatorki. Należała do modnych — salony w stolicach grały wielką rolę polityczną — „dyplomatek w krynolinie". Nie było chyba wśród tej kategorji kobiet osoby lepiej informowanej o stosunkach zakulisowych dworów i gabinetów. Archiwum Nesselrodego jest dla historyków skarbnicą.

[7]) Photiades, l. c., 184.

[8]) Tamże, 191.

7

Powróćmy jednak do Norwida — dalsze losy p. Kalergis niewiele nas obchodzą, a Norwida nie powinny były obchodzić już w r. 1846. W świetle powyższych faktów korespondencja ówczesna poety z panną Trembicką na temat jej przyjaciółki wyda się każdemu jeszcze smutniejsza, tak bardzo była bezprzedmiotowa. I ów tytuł „Polka” nad dytyrambem z r. 1849 wyda się mniej szczęśliwy, bo poco było kłaść akcent na polskość, gdy o niej w wierszu niema mowy; trafniejszy byłby tytuł: „Piękna”.

Pod jesień 1845 Norwid, dowiedziawszy się, że p. Kalergis opuściła Włochy, podążył za nią do Niemiec. Jak wiemy z listów, w kłopotach był finansowych; zapewne „dla nabrania benzyny” zawinął do Mikołowa na Śląsku do Władysława Wężyka, który tam mieszkał po nabyciu majątku. Tam też spotkała go przygoda napozór drobna, ale decydująca o jego przyszłości. Zatracił tam swój paszport rosyjski.

Jak to się stało, trudno dociec. Sam Norwid, pomimo że pisywał sporo listów, nigdy żadnej wiadomości o sobie nie był zdolny ściśle zanotować, jakby nie wiedział, co się z nim działo. Gdzieś wyraził się, że pisał tak, jak żył, ale że żył nieprzytomnie, mamy dowód z tym paszportem. Gdybyż to było zagubienie, ale ten dokument dostał się w ręce szpiega rosyjskiego. Nim się ów agent (niejaki Jatowt) potem legitymował w Paryżu wśród Polaków. Wykradał z biura Czartoryskiego dokumenty dla poselstwa rosyjskiego; tam też złożył i ten paszport.

Biografowie Norwida [9]), powołując się na pamiętnik owego agenta, wydany pod pseudonimem Gordona w r. 1861, powtarzają za nim, że Norwid, wzruszony jakoby jego losem (jako dezertera rosyjskiego), ofiarował mu i paszport i pieniądze. Z niejasnych Norwida wzmianek można wnosić, że zgubił, ale te wzmianki robią wrażenie, że Norwid jakby się wstydził tego zdarzenia. Mam wrażenie, że Gordon skłamał, że poprostu wyłudził paszport w sposób oszukańczy, może był nasłany.

Tak było, czy inaczej, skutki były fatalne. Po przybyciu do Berlina trzeba się było zameldować. W onych gorących czasach cudzoziemiec bez paszportu był człowiekiem podejrzanym i musiał się znaleźć pod dozorem policji. Norwid uzyskał w poselstwie jakąś czasową legitymację z nadzieją, że po upływie tego terminu otrzyma z Warszawy nowy paszport, pozwalający mu powrócić do kraju. Bynajmniej nie miał zamiaru stawać się emigrantem. Rwał się do Warszawy do czasu, póki się nie dowiedział, że p. Kalergis znowu jest zagranicą.

Położenie stawało się podwójnie przykre, odkąd sprawę paszportu złożył w ręce p. Kalergis. W listach, pisanych do p-ny Tremb. błaga, aby przez swoje stosunki p. K. wyrobiła mu pozwolenie na powrót. Tu miłość splątała się fatalnie z interesem, a ten bywa wrogiem salonowego gestu. Pisując te listy, nie zdaje sobie pewno sprawy, że adresowane są

[9]) Odkrycie to zrobił prof. J. Ujejski w pracy p. t. „Listy C. Norwida do A. Cieszkowskiego i Z. Krasińskiego“. „Pamiętnik Literacki“ we Lwowie, t. XXII. i XXIII, Ob. odbitkę str. 33.

do mieszkania szefa żandarmerji rosyjskiej, gen. Nesselrode, b) tam obie panie mieszkały. Czekając na odpowiedź, nie wie sam, czy czeka na paszport, czy na dowód miłości.

W tem miejscu skończył się stosunek z p. Kalergis. Nie było odpowiedzi, ani paszportu. Wyglądało na to, że światowa dama zapomniała o istnieniu kogoś, co się nazywa Norwid. Rozwiał się we mgle. Już nigdy na niego nie spojrzy.

Właśnie w najgorętszą porę krwawych walk i aresztowań w Poznaniu, na wiosnę 1846 r., Norwid musiał stawić się w poselstwie rosyjskiem, gdzie go potraktowano jako Norwida, agenta paryskiego. Gdy Norwid zaprzeczył, jakoby był kiedykolwiek w Paryżu i do tego był agentem, poseł rosyjski, jako podejrzanego, oddał w ręce policji niemieckiej, a ta osadziła go w więzieniu. Przygoda, zaiste, godna Don Kichota.

Uprzytomnijmy sobie, kiedy te rzeczy się działy. Był to rok 1846, który się skojarzył w pamięci polskiej „z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej“. W Berlinie było sporo Polaków, z którymi Norwid się stykał i od których mógł mu się udzielić dreszcz niepokojów o losy narodu, znowu gotującego się do walki. Przychodziły tu wieści z Poznańskiego o gotującem się powstaniu, potem o aresztowaniu Mierosławskiego, przychodziły straszne wieści z Galicji o rzezi szlachty; jęknęły od nich harfy duszy polskiej na emigracji: Słowackiego i Krasińskiego. Mickiewicz tężył słuch. Przyjaciel od kolebki literackiej w Warszawie, Edward Dembowski padł od kuli austrjackiej, gdy szedł z krzyżem na czele ludu na Podgórzu krakowskiem. Wszystko to działo się gdzieś daleko poza kręgiem ideowym Norwida, poza kręgiem jego zainteresowań ludzkich. Norwid zajęty był sprawą paszportu i pościgu za kobietą.

Podczas paromiesięcznego zamknięcia w więzieniu tłumaczy Danta, rozpamiętuje dramat uwięzionego Benvenuto Celliniego, może i Tassa. Przy protekcji Koźmianów uwolniony i odstawiony do granicy belgijskiej, udaje się do Brukseli, a stąd 1847 r., rozglądając się, gdzieby mogła być pani Kalergis, podążył do Rzymu.

Był to moment przełomowy w życiu Norwida. Przełamało się ciążenie do kraju, wkroczył w krąg emigracji. I tu się zaczną nowe zawody i klęski.

W r. 1849, kiedy pisał „Polkę“, miał lat 28. I rzecz dziwna, już wtedy gaśnie jego młodość; ten wiersz na cześć kobiety, to pieśń na cześć słońca, które zachodziło. Odtąd żyć będzie w beznadziejnym mroku emigranckim. Samotny, bez poczucia, że komu potrzebny, nie mogący znaleźć dla siebie miejsca, coraz smutniej wsłuchujący się w zagadki życia i te zagadki tworzący.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WSPÓŁCZESNY DRZEWORYT POLSKI

NA TLE KSYLOGRAFJI EUROPEJSKIEJ

JEDNYM ze szlachetniejszych sposobów współzawodniczenia narodów są bezwątpienia międzynarodowe wystawy sztuki. Zwycięstwo sztuki, dóbr, wytwarzanych umysłem i sercem, górować może nad zwycięstwem oręża. Choć imprezy tego rodzaju w nazwie mają przymiotnik: międzynarodowy, służą jednak właściwie wydobyciu i podkreśleniu właśnie cech narodowych. Wśród artystów każdego kraju (a zwłaszcza tego, w którym wystawa gości) budzi się, mocniejsze niż dotychczas, poczucie wspólnoty. Przedtem, tkwiąc w plastyce rodzimej, spostrzegali szczegóły różnic, nie widząc, z braku perspektywy, jednolitego obrazu całości. Teraz ich sztuka uwydatnia się, jako całość o wspólnych znamionach, na tle sztuki innych narodów. Jeśli artysta przedtem mówił: ja zwyciężam, lub: on zwycięża, to w danym wypadku często może powiedzieć — my górą. A gdy zwycięża sam, słusznie ma prawo być dumny, że blask, który pada na jego imię, opromienia i naród, z którego pochodzi.

Takie są atuty międzynarodowych wystaw sztuki. Budzą one poczucie odrębności narodowej, podnosząc zarazem na wyższy szczebel kulturę plastyczną, zarówno zwiedzających jak i artystów. Możność ogarnięcia okiem jednocześnie takiego obrębu świata sztuki, możność czynienia tak daleko idących porównań i wyciągania stąd wniosków, nieczęsto się zdarza, to też zawsze powinna być należycie oceniona i wyzyskana.

Dlatego też należy podkreślić zasługę i inicjatywę Instytutu Propagandy Sztuki urządzenia w Warszawie „Pierwszej międzynarodowej wystawy drzeworytu“. Imprezy podobne są organizowane w Europie niezmiernie rzadko; IPS zgromadził największą, jak dotychczas, ilość eksponatów. Inna rzecz, gdy zaczniemy się zastanawiać nad kwestją, czy wszystkie uczestniczące w wystawie narody są reprezentowane prawdziwie i dostateczną ilością dzieł. Nawet najmniej wyrobiony widz nie ulegnie złudzeniu, że Anglja posiada tylko jednego drzeworytnika, widząc ryciny tylko jednego autora w jej dziale.

Daleko trudniejsze natomiast jest zdanie sobie sprawy, czy jakiś dział prawdziwie odźwierciadla stan drzeworytu w tym a tym kraju, jeśli zgromadzona liczba rycin, przynajmniej ilościowo, wydaje się dostateczna. Z takim wypadkiem mamy do czynienia np. w dziale Francji: jest on zasobny, lecz rysuje obraz francuskiej współczesnej ksylografji nieściśle, jednostronnie i przedstawia ją w świetle niezupełnie dodatniem. Tu już trzeba znajomości grafiki i jej stanu obecnego w Europie; nie będąc świadomym sytuacji, należy zachować ostrożność sądu i nie urabiać sobie zbyt pośpiesznie zdania nieprzychylnego, zwłaszcza, gdy mamy pewne dane do przypuszczeń, że naprawdę jest inaczej.

Tak więc wystawa wyczerpującego i zupełnie prawdziwego obrazu współczesnego drzeworytnictwa nie daje (oczywiście nie z winy organizatorów), daje jednak materjał bardzo obfity, pozwalający, bez obawy popełnienia poważniejszego błędu, na zorjentowanie się w poziomie i rodzaju naszego drzeworytu, zestawionego z drzeworytnictwem innych narodów. Oczywiście Polska—co z roli gos-

podarza wypływa—była w położeniu szczęśliwszem: żadne przeszkody w obesłaniu własnego działu najobficiej i najbardziej interesująco, nie istniały. Należy o tem, przy wydawaniu sądów, pamiętać; to jednak o jej zwycięstwie nie zdecydowało— z próżnego przecież niktby nie nalał.

Stwierdzając wysoki, najwyższy obok Rosji, poziom Polski, musimy z całym naciskiem podkreślić znamienny fakt, niemiły chyba dla pewnych krytyków, których ulubionem dotąd zajęciem było wieczne biadanie, że jesteśmy kołtunerją, prowincją, pipidówką, że nasza kultura plastyczna jest ogromnie spóźniona (conajmniej o 50 lat!). Oto grafika polska (i rosyjska) wyróżnia się zdecydowanie świeżem, współczesnem, a zarazem nie dziwacznem i nie snobistycznem ujmowaniem odtwarzanych tematów. Z małemi wyjątkami, niemal wszystko, na jej (i Rosji) tle wydaje się konserwatywne, przebrzmiałe, w ujęciu mało pomysłowe, apatyczne, bez inwencji kompozycyjnej. O takich rozwiązaniach zapomnieliśmy już dawno, są one daleko poza nami, zwiększyliśmy stokrotnie nasze wymagania artystyczne. A nie trzeba przytem zapominać, że nasza przeszłość graficzna, w porównaniu z przeszłością sztuki ksylograficznej innych wielkich narodów, przedstawia się skromnie. Bujny plon naszego drzeworytu współczesnego wyrósł więc na gruncie stosunkowo młodej kultury graficznej.

Gdzieindziej widzimy nieraz b. dobry rysunek, znakomitą i bogatą technikę doświadczonego rytownika i, jeśli mowa wyłącznie o tych walorach drzeworytu — rycinom wielu narodów nic prawie nie można zarzucić. Jednak ta wiedza i doświadczenie, w przeważającej ilości wypadków, nie zostały wyzyskane właściwie i ryciny w rezultacie są zbyt naturalistyczne, nawet w stosunku do nowoczesnej fotografiki. Wyobrażają ujęte bezpretensjonalnie i nudno skrawki natury, podane często bez ambicji jakiegokolwiek przemiału dostarczanej przez świat rzeczywistości.

Wprawdzie np. Niemcy dalecy są od naturalizmu, zbyt lekceważą jednak właściwości rylca i deski; zapomocą tego materjału uplastyczniają swe alegoryczno-ekspresjonistyczne koncepcje, dążą za niemi, a nie myślą o samym drzeworycie. Technika brutalna, zbyt niewymyślna, lub niedbała, ma, według nich, najlepiej wyrażać charakter ksylografji.

Po Rosji i Polsce trzecie miejsce zajmują Stany Zjednoczone. Obok techniki precyzyjnej, czasami zbyt suchej, widać tu coraz wyraźniejsze i śmielsze usiłowania kompozycyjne, nierzadko prace posiadają już wyraz i nastrój. Lecz wracajmy do Polski.

Drzeworyt nasz poznajemy przeważnie na wystawach „Rytu“; w tym wypadku zmobilizowano razem z nim wszystkich bez mała grafików, nawet malarzy, którzy chyba tylko z okazji wystawy „popełnili“ drzeworyt. To też poziom w dziale Polski, choć na wyżynach znakomity i bogaty różnorodnością ujęć, naogół nie jest tak jednolicie wysoki, jak w dziale sowieckim, który zato nie dorównywa nam liczbą indywidualności artystycznych. Drzeworyt rosyjski słusznie można ochrzcić mianem „szkoły“, w tem znaczeniu, jak się mówiło: szkoła włoska, niemiecka i t. d.

Rdzeń działu Polski stanowi „Ryt“, obok niego widzimy młody narybek, odznaczający się dobrem wyczuciem stylu drzeworytniczego, ogromną zręcznością techniczną, smakiem, łatwością kompozycyjną i przy tem wszystkiem jeszcze, młodzieńczą nonszalancją, a czasem brakiem poważniejszego wysiłku (Manteuffel, Wajwód, Hładkówna, Telakowska, Rużycka).

Drugie skrzydło (jeśli „Ryt“ pojmiemy jako centrum) będzie się składało z kilku grafików starszego pokolenia (Półtawski), dobrych techników, bez żadnych ambicyj kompozytorskich pozatem; wreszcie grupy artystów różnego wieku i autoramentu, potrosze samouków, wybierających sobie dla nauki najlepsze wzory drzeworytniczne (np. Skoczylasa). Ludzie ci, ambitni i nieraz b. pracowici, osiągają wyniki, w wielu wypadkach coraz to lepsze, dając prace, choć bez polotu, lecz b. rzetelne (Steller).

Mimo, iż ruch graficzny u nas jest ożywiony i drzeworyt zagarnia pod swe władanie coraz to szersze kręgi artystów, palmę pierszeństwa w dalszym ciągu musimy przyznać „Rytowi“. Podkreślając ogólnie cechy drzeworytu polskiego, zaznaczyliśmy już jego walory kompozycyjne, teraz musimy dodać, że każdy bez mała członek „Rytu“ ma własne i odrębne oblicze artystyczne, wypracowany przez siebie język graficzny, którym wyraża swoją wizję. A wizja ta, mówiąc o jej zasadniczych znamionach, jest zdecydowanie współczesna, gdyż nie notuje natury i jej przypadkowości, używając kształtów świata widzialnego, raczej tylko jako pretekstu, do wypowiedzenia własnych koncepcyj graficznych. Grafikom „Rytu“ nie chodzi o oddanie efektów natury w języku graficznym, lecz słowem graficznem — sensu własnych pomysłów.

Przy całej współczesności wizji artystycznej grafików „Rytu“ należy zaznaczyć jednak, że kontakt tej wizji z życiem współczesnem jest b. słaby. Graficy ci nie próbują zająć stanowiska, jako plastycy, wobec życia, jego bolączek i rozmaitych przejawów. Ujęciem formalnem swych prac dobrze oddają ducha współczesności, milczą jednak wobec zagadnień, jakie życie współczesne nasuwa (oczywiście tych, które plastyk może wyrazić).

Jedni zwracają się ku przeszłości (stara architektura) i rojeniom mistyczno-symbolicznym (Cieślewski), drudzy ku legendom, fantazjom, wizjom obu testamentów (Mrożewski). Artystki zajmuje liryczna sielankowość beztroskiego pejzażu (Krasnodębska-Gardowska), lub jego finezyjnie-pomysłowa, zabawna dekoracyjność (Konarska)[1]). Inni odtwarzają coprawda życie konkretne, życie naszego ludu na Podhalu (Kulisiewicz), lecz jednostronność tej relacji jest w równej mierze artystyczna, jak nieprawdziwa.

Gdy więc po latach, w bibljotekach i zbiorach grafiki, nasi wnukowie oglądać będą nasze ryciny, odczytają z nich poglądy artystyczne dziadków, lecz o życiu, w którem tkwili i pracowali, nie dowiedzą się nic.

WIKTOR PODOSKI

P. S. Zdaję sobie sprawę z takiego postanowienia kwestji, jak również z postanowienia zarzutu nie w skali do zasług naszych drzeworytników. Ciężar tego zarzutu byłby ogromny, gdyby się nie rozkładał równomiernie na ramionach niemal wszystkich artystów współczesnych. Marna to jednak, mojem zdaniem, pociecha.

---

[1]) Nazwisko to jest pseudonimem. Właściwe nazwisko artystki brzmi Konerska, dawniej Seideman (Przyp. Redakcji).

NA WIDOWNI

Mit o Anteuszu. — Lud jako fundament. — Herkulesowe walki z synem ziemi. — Politycy sterylizowani przez żydów. — Moja rozmowa z „głupim“ chłopem. — *Sub hoc Signo.*

KRZEPIMY się wspomnieniami wakacyj—nietylko młodzież szkolna, ale i my starsi. Myśl wraca z upodobaniem do przyrody wiejskiej i do jej mieszkańców, stanowiących dalszy ciąg ziemi, a przecież odgrywających tak wielką rolę w budowie społeczeństwa. Fundamenty budowy społecznej narodu historycznego głęboko tkwią w ziemi. Zwiałby nas z powierzchni byle podmuch dziejów, gdyby nie lud wrośnięty w ziemię.

Znacie mit grecki o Anteuszu, synu Ziemi (Gei): tajemnicą jego nadzwyczajnej siły był związek bezpośredni z ziemią. Odgadł tę tajemnicę Herkules i wpadł na pomysł, że oderwać go trzeba od ziemi; uniósł go tedy w górę i w ten sposób dopiero pokonał. Znany jest ten mit ludowej poezji rosyjskiej, uwieczniony w przepięknych „bylinach“ o bohaterach-oraczach. Cała ludzkość przepojona jest wiedzą, płynącą z instynktów, a więc intuicyjną czy poetycką, o tajemnym związku człowieka z ziemią. Zawsze i wszędzie poeci byli rzecznikami wiary w ziemię i prostego człowieka. Dany jest tym instynktom najgłębszy sekret budownictwa cywilizacji, dźwigającej się w górę ku słońcu, a zawsze w oparciu o ziemię. Klątwa ciąży na cywilizacjach, nie mających pod sobą własnej ziemi.

Kiedy budowa cywilizacji polskiej w XVIII w. się zarysowała i zagrożona była upadkiem z powodu utraty rusztowań państwowych, ten zmysł „poetycki“ narodu sprawił, iż myśl społeczna, naukowa i polityczna skierowała się ku ludowi.

Pierwsza myśl była o tem, jak my stoimy ze swym fundamentem. Troska o byt była przedewszystkiem troską o lud. W tym kierunku szła myśl polityczna podczas rozbiorów, a jeżeli mamy wrażenie, że w wieku XIX przodowała tej myśli poezja, to tylko dlatego, że istotnie w podstawach leżała intuicyjna idea związku z ziemią przez lud. Wyrazem ostatecznym tej idei w postaci formuły socjologicznej na przełomie bieżącego stulecia była w programie nacjonalistycznym zasada tożsamości interesów ludu z interesami narodu.

— — — — — — — — — — — —

Motyw miłości dla ludu stał się najcenniejszym klejnotem w koronie cywilizacji polskiej, która przecież była szlachecka. Zdawałoby się, że dziedzice jej w czasach, głoszących upadek Polski szlacheckiej, bliżsi będą sercem ludowi, niż owa szlachta. Tymczasem nie było nigdy na wsi takiego mrozu społecznego, jak obecnie. Czem się to tłumaczy? Ludzie, nadający styl Polsce pomajowej, wyszli ze szkoły socjalistycznej. Może kochają proletarjat fabryczny, ale i to wątpliwe; natomiast niewątpliwą jest rzeczą, że do ludu wiejskiego ustosunkowują się, jak twórcy komunizmu w Rosji. Bo tu i tam to zostało z żyda Marxa — pogarda dla psychiki życia wiejskiego, z której pochodzi kompleks psychiki narodowej.

Rzecz charakterystyczna, że w ludziach tej epoki marxowskiej, choćby pogubili po drodze istotne zasady socjalizmu, pozostały głęboko zaszczepione przez ideologję żydowską pierwiastki uczuciowe awersji do wszystkiego, co jest żywiołem narodowym. Wychowano ich w pogardzie do „chłopa“ i do „obórki chłopskiej“. Zaniechali marzeń o scalaniu drobnych gospodarstw i uprawie ziemi upaństwowionej przy pomocy traktorów, co tak uporczywie było propagowane ze stanowiska materjalizmu dziejowego, ale została niechęć do tej ziemi chłopskiej gospodarza. Pozostała w duszy trucizna, zawarta w osłonkach ideologji, a podsunięta narodom osiadłym. Trucizna ta miała wyżreć z dusz ową poezję (owo *imponderbilium*) związku społeczeństwa z ziemią przez lud.

Socjalizm marxowski wziął na siebie rolę Herkulesa. Czego ten dokonał siłą fizyczną, odrywając Anteusza od ziemi, tego socjalizm miał dopiąć trucizną ideologji. Widzimy to straszne zmaganie się z bohaterem byliny, Anteuszem rosyjskim, mające być triumfem trzeciej międzynarodówki. Czemże jest ta robota planowa, jak nie wykorzenianiem ludu z ziemi, sterylizacją państwa z pierwiastku narodowego. Ludzie drugiej międzynarodówki w Polsce mają objektywne warunki działania trudniejsze, ale subjektywnie sami są sterylizowani narodowo.

Wszystko, co jest Erosem w twórczości dziejowej, jest im niedostępne i wstrętne. Stać ich jedynie na ideały socjalistyczne Ethosu państwowego, mechanistycznego i ten stosują w wychowaniu. (Ob. podręcznik dla nauczycieli Sośnickiego „Podstawy wychowania państwowego“), jakby wogóle Ethos mógł być wymyślony z doktryny.

— — — — — — — — — — — —

Czytałem w tych dniach na pierwszej stronie „Gazety Polskiej“ artykuł, mający oświetlić bieżącą chwilę polityczną. Przy czytaniu takich rzeczy trzeba być trochę krytykiem literackim, może tylko grafologiem, który po piśmie rozpoznaje duszę piszącego. Na pierwszy rzut oka widać było, że pisze tę rzecz człowiek sterylizowany narodowo. Ma dobry humor, powiedziałbym, wisielczy humor. Zupełny brak pierwiastka uczuciowego, który wiąże z chwilą przeżywaną, a więc i stanowisko nie *à propos*. Niema nawet koncepcji, jest tylko koncept, mianowicie autor bierze sobie za tezę (przytaczam z pamięci): „Najsłabszą stroną obecnego w Polsce *regime*'u jest kiepska opozycja“. Wyśmiewa słabość opozycji i robi to, jak prowokator. I w jakim czasie to robi? W czasie wstrząsających opinję nieskończonych procesów sądowych państwa z ludnością wiejską w Małopolsce zachodniej. Trucizna, o której mówiłem, wyżarła w takim publicyście wszelki pierwiastek poetycki, więc i poczucie dramatu. Pisze z powodu tych zdarzeń w dzienniku „miarodajnym“ stylem kupletu kabaretowego, z refrenem wesołym o mizerocie opozycji, a takie dowcipy jak „głupie chłopy“ są petardami jego humoru.

Nie mam nic przeciwko humorowi w pedagogji, można go z powodzeniem stosować na lekcji wychowania państwowego; chodzi tylko o to, żeby uczeń mógł odróżnić je od wychowania żydowskiego. A takie koncepty urbanistyczne, jak „głupie chłopy“, mają posmak żydowski.

— — — — — — — — — — — —

Tego lata zdarzyła mi się pogawędka z chłopem, którą uznałem za ozdobę miłych zresztą dni wakacyjnych. Wędrując spacerem w niedzielne popołudnie przez pewną wieś nadnarwiańską zetkną-

łem się z człowiekiem, który też szedł bez celu. Pusto było we wsi, ludzie bowiem wylegli na odpust do wsi sąsiedniej. Zagadaliśmy do siebie i poszliśmy razem. Zrazu rozmowa się nie kleiła. Obaj chcieliśmy czegoś dowiedzieć się od siebie, ale nie wiedzieliśmy, z kim okoliczność, a chce się — jakże inaczej — odrazu *de publicis*. Podziwiałem chłopa dyplomację, jak krążył, ja też krążyłem, ażeśmy wreszcie wpadli sobie do duszy.

— Ano, to widzę, pan narodowy — ucieszył się chłopina. Miał lat chybu do czterdziestu, smagły, rasowy Polak, dobrze odziany (marynarka) i obuty, koszula świeża, dobrze wygolony, oko czyste i bystre, duży wdzięk w rozmowie i niepospolita inteligencja. Mówił na pytania o swoim bycie gospodarczym. Ziemi ma niewiele, ale nie skarży się, koniec z końcem wiąże, rodzinę utrzymuje. Praca ciężka, oszczędność coraz większa. Coraz jednak wkraczał na szersze pole stosunków, nie było rzeczy publicznej, którąby go nie interesowała. Zastanowiła mnie sympatja, z jaką mówił o niektórych dworach okolicznych. Wyliczał wioski, w których dawniej były dwory, dziś nieistniejące. We wsi własnej pokazał mi miejsce, gdzie dawniej stał dwór, pokazywał pieńki po wielkich akacjach, które dwór ocieniały. Mówił o procesie przetwarzania się stosunków na wsi, podnosił z uznaniem zasługi panów, dla ludu położone.

Słuchałem z zaciekawieniem i radością. Bo to najciemniejszy punkt w naszej wyobraźni społecznej: co będzie po upadku większej własności, czy nie przepaść otwiera się przed nami. Słowa tego nieznajomego, a tak bliskiego mi człowieka, dodały mi otuchy.

Mieszkałem tego lata we dworze-pensjonacie, miałem pełne uszy skarg i złych co do przyszłości wsi przepowiedni. Istotnie struktura wsi szybko się zmienia, a z upadkiem większych posiadłości poniesiemy w kulturze znaczne straty, zwłaszcza w b. zaborze rosyjskim, gdzie dwór odgrywał doniosłą rolę; ale przecież wobec tak znakomitego postępu, jaki poczyniło włościaństwo, w przyszłość można patrzeć bez dramatycznego napięcia. Jest na czem oprzeć nadzieję i nie tylko nadzieję, ale porządną pracę polityczną.

Przeoraliśmy w rozmiowie z mądrym chłopem (nie „głupim") wszystkie dziedziny życia publicznego i dalibóg większą miałem korzyść z rozmowy i radość, niż z dyskusji z tym lub owym przodującym ziemianinem z klubu sanacyjnego w parlamencie. Kiedy się dotknęliśmy sprawy bolszewizmu, a stąd wojny, pokazało się, że mam przed sobą żołnierza z kampanji 1920 r. Chłop polski ze szczególnem upodobaniem opowiada o swych przeżyciach rycerskich.

Niezapomniany będzie dla mnie ten zachód słońca na wielkiej równinie mazowieckiej wśród złotych rżysk, gdy mój towarzysz, stanąwszy na drodze roztaczał obraz walki pod Ossowem. Nie sposób było zapamiętać słów, bo sypały się nagle, posiłkowane gestykulacją i grą pałającej od wzruszeń twarzy: słowa obrazowe, pękające jak granaty, sięgające wyżyn poezji epickiej, gdy mówił o bohaterstwie naszej młodzieży, a zwłaszcza księdza Skorupki. Pierwszy raz słyszałem opowieść o tym księdzu rycerzu od naocznego świadka. Podnosił jego zasługę, jako żołnierza i dowódcy, zajadłość jego kulomiotów, którym tam odpowiadał jęk tłuszczy. A w tem, co mówił, widziałem nietylko krew i technikę zapasów: z krzyżem księdza Skorupki wyrastał nad polem walki genjusz życia narodowego, uosobiony w chłopie-Anteuszu. Nikt nie mógł mi pokazać go tak bezpośrednio, jak ten człowiek to robił prostemi środkami swej ekspresji.

— — — — — — — — — — — —

Nie jest więc tak śmieszna opozycja narodowa. Ona ma w ręku krzyż dobrej sprawy, sprawy, która jest wieczna i która zwyciężyć musi: *sub hoc signo*. Nie ma się czego śmiać. *Regime* nie może być traktowany magicznie, musi mieć jakieś oparcie psychiczne w duszy tego narodu, który ma być według niego wychowywany. Kto się opiera o żydów, nie może się śmiać szczerze z tych, którzy mają za sobą lud i umiejącą myśleć o dobru publicznem inteligencję polską, a więc naród.

Z. W.

GŁOSY

KONFERENCJA ROZBROJENIOWA skończyła się, ale nie rozbrojeniem. Kres jej pracom położyło oświadczenie Niemiec, że się „dozbroją" i wystąpią z Ligi Narodów. Na to więc były dwa lata zabiegów, przygotowań i rokowań, aby taki koniec uwieńczył dzieło? Refleksja wydaje się nazbyt ironiczna; a przecież warto się nad nią zastanowić. Wydaje się, że w każdym razie organizatorzy Konferencji zgrzeszyli jakoś brakiem przewidywania, jeżeli wynik osiągnęli tak różny od zamiaru. Czego nie przewidzieli? Kapitalnego faktu, że zapanuje w Niemczech ruch nacjonalistyczny. Cała polityka mocarstw zwycięskich obliczona była na to, że ruch ten władzy nie zagarnie. Jeśli się nie mylimy, to i z publicystów polskich Stanisław Kozicki był jedynym, który zawczasu kategorycznie zapowiadał przyjście do władzy Hitlera. Zlekceważono szanse ruchu hitlerowskiego w walce o władzę; powszechnie też niedoceniono zdolności tego ruchu do urzeczywistniania swego programu po zwycięskiem zagarnięciu pełni władzy... Nacjonalizm jest tym czynnikiem, który psuje i paczy plany najbardziej rutynowanych „specjalistów" od spraw międzynarodowych. Jest to czynnik nieobliczalny w ustalonym schemacie. Nawet pesymiści nie przypuszczali, że międzynarodowa konferencja ekonomiczna skończy się tak kompletnem fiaskiem, jak to bezradne „odroczenie" obrad, które było jedynym wynikiem próby uzgodnienia nacjonalizmów gospodarczych — przez poddanie jednych drugim. Podobnie i konferencja rozbrojeniowa nie zakończyła jeszcze formalnie obrad. Pracuje dalej — z tem, że Niemcy w każdym razie się „dozbroją", i nie czują się już związane temi klauzulami traktatu wersalskiego, które dotychczas krępowały ich gotowość militarną. Nacjonalizm niemiecki zaskoczył świat — nie po raz pierwszy — niespodzianką. Postąpił tak, jakby głoszone gromko hasła wyznawał serjo. Świat zdziwił się ogromnie, kiedy Niemcy wprowadzili w czyn swój program przeciwżydowski. Teraz znów nie brak głosów, pragnących postępek Niemiec wytłumaczyć, jako krok taktyczny. Tymczasem jest oczywiste, że wszystko to, co w orędziach i przemówieniach powiedzieli wodzowie obozu rządzącego o „hańbie" i „upokorzeniu", jakie znosiły Niemcy, i o konieczności wydźwignięcia się z poniżenia za wszelką cenę, że to wszystko ma akcent bezwzględnej i cał-

kowitej szczerości. Jak donoszą korespondenci pism angielskich, ludność powitała krok rządu z niebywałym entuzjazmem, i Niemcy poczuły się zjednoczone wewnętrznie, jak nigdy dotąd. Wydaje nam się więc, że przyczyną zerwania była nietylko chęć zaskoczenia przeciwników taktycznie, lecz także prawdziwe zdenerwowanie nacjonalistów niemieckich dosyć przykrym dla Niemiec wynikiem obrad w Genewie. Niemcy czuły się poniżone „okresem próby“, po którym dopiero nastąpić miało przyznanie im równości zbrojeń. Nastąpiło (w bardzo godnej formie) odwołanie się rządu do narodu. Należy zaś pamiętać o bardzo specyficznym charakterze wyborów w Niemczech. Administracja utrudnia tam wprawdzie agitację przeciwnikom rządu, ale nigdy nie doszło do dosypywania kartek do urn wyborczych. Trzeba, myśląc o obcym narodzie, mieć te odrębności na uwadze... Niemcy postąpili zatem, jakby ideologję swą brali tak poważnie, jak my przynajmniej zobowiązania traktatów o mniejszościach. Trzeba się z tem doprawdy liczyć, że zarzucili tandetną i obrzydliwą obłudę Stresemanna, i myślą, co mówią. Czy od zasady tej robią wyjątek, kiedy podają się za prawdziwych miłośników pokoju? Uważamy w każdym razie za niewątpliwe, że szczerość nacjonalistyczna mogłaby znacznie uzdrowić stosunki i stworzyć zgodniejszą i bardziej, mimo wszystko, świadomą swej wspólnoty Europę... Lecz nie są to dziś rzeczy aktualne. Narazie stan rzeczy jest taki, że weszliśmy w okres nowego wyścigu zbrojeń, w którym Polska wydobyć z siebie musi jaknajwiększy wysiłek.

ODCZYT GENERAŁA ZAKONU DOMINIKANÓW, ojca Gillet'a był zajmującem zdarzeniem w życiu umysłowem Warszawy. Poprzedzony emfatycznem słowem wstępnem prof. Oskara Haleckiego, sam zdawał się zrazu tylko jakby wypracowaniem profesorskiem na temat: jednostka — rodzina — naród — rodzina narodów... Jednakże nawet tradycyjna doktryna, wyrażona przez generała zakonu o tak ogromnej tradycji i zasłudze cywilizacyjnej, staje się nanowo interesująca i pełna znaczenia. Oto myśl, której służy wiekowa i wspaniała organizacja, przerabiająca dusze... Myśl, której punktem wyjścia wyższość czynnika duchowego nad materjalnym, a konkluzją przyznanie najważniejszej i najbardziej twórczej roli — pierwiastowi miłości (*charité*), a nie mechanicznym sposobem przekształcenia stosunków międzynarodowych... To, co w artykule wstępnym dziennika byłoby frazesem, lub banałem, w ustach generała Dominikanów było słowem głębokiej i prawdziwej mądrości. Było to zaś cechą umysłowości francuskiej prelegenta, że z głębią myśli w parze, sposobem naturalnym, szedł zdrowy rozsądek. Dążenia Ligi Narodów do stworzenia nowej społeczności międzynarodowej scharakteryzował O. Gillet, jako próby uszycia sukni bez szwu z różnych kawałków materji. Istotnie, bez głębszego i powszechniejszego przejęcia się ideałem miłości trudno wyobrazić sobie doskonalszy układ stosunków międzynarodowych. Zaznaczył też prelegent, że postępu nie należy szukać na drodze pośpiesznego rozbrajania się narodów; że, mając na uwadze naukę o grzechu pierworodnym, nie można zbyt wiele budować na wierze w dobrą naturę człowieka; należy też odpowiednio kierować się ostrożnością... Nieuporządkowane mając stosunki wewnętrzne, jako naród, nie bierzemy dziś właściwie w życiu międzynarodowem żadnego udziału; zagadnienia udoskonalenia współżycia międzynarodowego są nam właściwie zupełnie obce. Zajęci znalezieniem swojskiej elity, nie mamy sposobności do zastanawiania się nad zagadnieniami z tej obszernej dziedziny; po swojemu zato myśli o nich w Polsce głośno żydowski pacyfizm. Francuskie słowo O. Gillet'a uprzytomniło, jak nad rozwiązaniem tych spraw pracuje myśl katolicka i jak nic nad ich rozwiązaniem nie pracuje katolicka Polska.

CZĘSTY STOSUNKOWO ODZEW wywołują w prasie artykuły monarchistycznego „Słowa" wileńskiego; nieczęsto odzywa się w publicystyce echem warszawski „Głos Monarchisty". „Słowo" wychodzi wprawdzie codzień, „Głos" zaś jest miesięcznikiem. Ale i to nie wytłumaczy chyba całkowicie owej dysproporcji w odzewie. Zastanówmy się chwilę nad zagadką. Główny publicysta „Głosu", p. Leszek Gembarzewski, napewno nie mniejszą ma wiarę w monarchję od naczelnego redaktora „Słowa", p. Mackiewicza. Trzeźwością i wytrawnością polityczną „Słowo" bynajmniej nie góruje, ani też nie zawstydzi „Głosu" większą bezkompromisowością w orędowaniu swej idei. Czyżby różnica talentów pisarskich decydowała? „Słowo" bezwątpienia żywiej rozmawia z czytelnikiem, ale „Głos" odzywa się zato lepszą i wykwintniejszą polszczyzną. Zaleta, niemało ważka. Wydaje się nam jednak, że „Słowo" jedną ma nad „Głosem" przewagę: nie jest wcale zachodnioeuropejskie ze stylu idei. Czytelników znajduje wyłącznie na kresach wschodnich. Kresowcy ci o wiele wolą monarchizm w stylu rosyjskim, niż monarchizm wywodzący się z doktryny nacjonalistów francuskich. „Głos" związany jest z oderwanym i wyspecjalizowanym w doktrynalnej abstrakcji, ale zachodnio - europejskim sposobem myślenia; „Słowo" myśli o polityce i monarchizmie po rosyjsku. Od monarchistów francuskich pożyczyło tylko słowo „regjonalizm". Różnica cywilizacyjna poziomów jest, co tu mówić, znaczna. Czy można sobie wyobrazić, że monarchiści kresowi wybiorą z czasem monarchizm bardziej cywilizowany i pilnie wezmą się do czytania „Głosu monarchisty"? Wymagałoby to znacznej ewolucji w pojęciach i wysubtelnienia politycznego gustu. Wydawać się może tylko rojeniem fantazji. Ale czemuż miałyby kresy wiecznie gustować tylko w stylu rosyjskim?

NAUKA I LITERATURA

Z BIBLJOGRAFJI POLSKIEJ

BIBLJOGRAFJA polska znowu pochlubić się może ważnemi osiągnięciami. O jeden krok przybliżyliśmy się właśnie dzieła Estreichera. Każdy pracownik na polu historji literatury, choćby najmłodszy, od pierwszych lat samodzielnych studjów badawczych wie dobrze, że w bibljografji Estreichera znaleźć ma podstawę wszelkich poszukiwań. „Estreicher", utraciwszy imię własne, jest od lat wielu informatorem i przewodnikiem po nieobeszłej dziedzinie polskiego piśmiennictwa, trzeba go otwierać co chwila, trzeba najbliżej mieć pod ręką dzieło, które się nie zestarzeje tak łatwo, dzieło jednego człowieka na usługach pokoleń.

Twórca osierocił wydawnictwo nie ukończywszy zamierzonego planu. Od roku 1908 prowadzi je dalej syn Karola Estreichera, prof. Stanisław Estreicher, pełen pietyzmu i oddania dla wielkiego dzieła ojca. Wiernej myśli synowskiej, którą wspomogły rzadka wiedza literacka, i silne umiłowanie bibljograficzne, zawdzięczamy szereg tomów następnych, snujących ciąg dalszy wydawnictwa. Akademja umiejętności, wziąwszy na się obowiązak edytorski, ogłosiła w roku bieżącym tom kolejny XXIX, część dalszą litery *S* (*Sok-St*), „Bibljografji polskiej" Estreicherów, inwentaryzujący piśmiennictwo dawne na przestrzeni stuleci XVI — XVIII. Do tomu tego zajrzy z ciekawą uwagą niejeden miłośnik staropolszczyzny. Z pisarzy wybitnych znalazła się tu twórczość Sokołowskiego, Solikowskiego, Stryjkowskiego. Zebranie bibljograficzne plonu ich żywota szeregiem ważnych wskazówek usłuży monografistom i poszukiwaniom specjalnym. Niejedna pozycja zatrzyma dalej badacza spraw religijnych; tom ostatni objął m. in. Stankara, Statoriusa. Historyk szkół i wychowania rozejrzy ciekawie zebrane pieczołowicie podręczniki Sturma. Najwspanialej wygląda Szymon Starowolski, właściciel przeszło stu pozycyj, na wielu polach czynny polihistor, który nie ma dotychczas zupełnej monografji. Do dziejów nauk ścisłych i przyrodniczych należy dalej twórczość Spiczyńskiego Strusia, Jana ze Stopnicy. Historyk prawa ma tu dla siebie statuty litewskie i druki synodalne. Z wieku XVIII ważną pozycję stanowią Stroynowscy, Staszic.

Pobieżny przegląd treści tomu wskazuje na polskie bogactwo kulturalne, ujęte tu bibljograficznie. Wiele spraw i ludzi, którzy głęboko zapadli w nasze dziedzictwo myślowe, przesuwa się przed nami obojętną kolejnością alfabetu. Prof. Estreicher, udoskonaliwszy technikę zapisu ojca, uzupełnia wiadomość bibljograficzną szeregiem własnych komentarzy, które formułują zagadnienia naukowe nierozwiązane lub rozwiązane niedostatecznie. Uderza w tych artykułach, pęczniejących nieraz pod piórem w całe rozprawki monograficzne, bogata erudycja literacka i oczytanie w literaturze naukowej, nawet najnowszej. Odnośniki umieszczone przy każdej pozycji, wskazują na zbiory, w których znajduje się dzieło pomienione. Tom obecny, wyzyskując biblioteki mniej znane, np. toruńską i in., w przeglądzie swych materjałów bibljograficznych staje się niby centralnym katalogiem starych druków, znacznej doniosłości informacyjnej.

Oczekując najrychlejszego końca przedsięwzięcia, z wdzięcznością bierzmy do ręki tom nowy, który niechaj wróży pomyślnie dla następnych.

Innym ważnym postulatem biblografji polskiej jest opracowanie treści czasopism. Nieznane całkowicie materjały literackie, niedostępne jak dotąd i wymykające się kontroli, zalegają w czasopiśmiennictwie XIX wieku w oczekiwaniu planowej pracy bibljograficznej. Rzecz ta pilna i doniosłeści nielada, ułatwi znakomicie orjentację w stanie badań nad niejedną sprawą i usunie niejedną lukę bibljograficzną. Trudności, tkwiące w naturze tych poszukiwań, pokonać musi systematyczny zbiorowy wysiłek.

Nieco więcej wiemy o zawartości czasopism pierwszych lat bieżącego wieku. Serja bibljografij rocznych, którym patronowało Towarzystwo Literackie im. Mickiewicza we Lwowie, objęła produkcję wydawniczą lat 1901-1907, wyzyskując sumiennie także i treść czesopism. Przerwę w tej pracy usprawiedliwiła potem wojna, rzecz poszła w odwłokę, zawiązana dopiero teraz m. in. przez publikacje Grzegorczyka. Luki pozostały niewypełnione, nikt do nich nie wracał.

Otóż teraz właśnie powrócił Stefan Vrtel—Wierczyński, wydając z rękopisu „Bibljografję historji literatury i krytyki literackiej polskiej za rok 1908-1909", opracowaną niegdyś przez Radomira Vrtela. Historyk tego tomu sięga czasów przedwojennych. Śmierć autora stanęła wówczas na przeszkodzie realizacji wydawniczej, potem wyrosły inne trudności, aż materjały pośmiertne, przez brata zmarłego, ukazują się dopiero dzisiaj. Ale książka (słowa wydawcy) „mimo dużego przedziału czasu, nietylko nie straciła swej aktualności lecz przeciwnie, stała się jeszcze bardziej potrzebną i pożądaną". Chętnie, po uwagach niedawnych, podzielimy stanowisko wydawcy. Książka objęła wszelkie druki, wydane w okresie sprawozdawczym, ale także prace, artykuły i recenzje z czasopism, dzienników i publikacyj zbiorowych. Materjał ułożono w dwa działy: litoratury polskiej i obcej. Układ bibljografji oparty jest na alfabecie nazwisk autorów, ale i haseł rzeczowych, gdy zachodziła tego potrzeba. Źródeł bibljograficznych (czasopism, dzienników, wydawnictw zbiorowych) zarejestrowano 121.

Bibljografję ową można czytać — jeśli chcecie — niczem rozdział prozy naukowej. Jesteśmy w mateczniku literatury młodopolskiej. Zrzadka np. przy pierwszych powieściach Nałkowskiej, rozumiemy, że nie oddaliliśmy się zbytnio w czasie. Ale pozatem tyle przeminęło. „Paraklet" Szandlerowskiego, obecnie niepodobny do czytania, jest jeszcze wydarzeniem dnia. Poezje Wikszemskiego, którego dziś ekshumuje się jako twórcę (m. in. i na tych łamach) należą do produkcji bieżącej, Drobiazgowo dokładny dział recenzyj i polemik literackich (pp. przy Sienkiewiczu i Słowackim — to jubileuszowy rok poety, sprawa przewiezienia zwłok do kraju) aktualizuje rzeczy przebrzmiałe, dzisiaj historyczne. W grupie „Literatura obca" szczególną uwagę skupiają przekłady literackie.

Tak oto suche rejestry tytułów i nazwisk napełniają się żywą, soczystą treścią, gdy odczytać je jako wyraz kultury piśmienniczej.

E. P.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Dzienniki sanacyjne („Czas"), wtajemniczone w działalność gabinetu p. Jędrzejewicza, donoszą, że 14 października r. b. odbyło się posiedzenie pierwszych siedmiu członków zakładanej przez p. Jędrzejewiaza Akademji Literackiej. Posiedzenie to odbyło się w prezydjum Rady ministrów. Siódemka dokonała kooptacji dalszych ośmiu pisarzy. Na prezesa Akademji upatrzono Wacława Sieroszewskiego.

Do pierwszej siódemki, jak donosi „Gaz. Warsz." p. Jędrzejewicz mianował pp.: Kadena-Bandrowskiego, Berenta, Staffa, Sieroszewskiego, Przesmyckiego, Nałkowską i Choynowskiego. Kooptowani mają być: K. H. Rostworowski, Boy-Żeleński, Iłłakowiczówna, Goetel, Kleiner, Rzymowski (z „Kur. Porannego"), prof. Zieliński i Irzykowski.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Tegoroczny jubileusz miasta Torunia nie powinien przejść bez echa w literaturze polskiej. Jakoż słyszymy, że jeden z młodych a niezmordowanych w swej pracowitości polonistów ogłosi wkrótce obszerne studjum o „Toruniu w polskiej poezji ludowej"; warto bowiem wiedzieć, że przepiękne to miasto sławione było przez lud nasz prawie narówni z Krakowem, Warszawą i Gdańskiem. Wziętość tę swoją zawdzięczało niewątpliwie temu, że było bodaj najważniejszą przystanią flisacką, gdzie nieraz zatrzymywali się oryle krakowscy czy mazowieccy. Bywali artyści i poeci, którzy opiewali pamiątki historyczne starego grodu; natomiast wśród „naszej inteligencji" znajomość Torunia dość często ograniczała się, jak ktoś dowcipny dawno orzekł, do dwu wyrazów: „Kopernik i piernik".

Dla oświecenia tej to właśnie sfery wydał parę lat temu p. Marjan Sydow, współpracownik „Mestwina", starannie opracowany przewodnik po Toruniu, zdaje się potrosze wzorowany na słynnych przewodnikach Orłowicza, ale bynajmniej nie ustępujący temu wzorowi. Z pod pióra tegoż niestrudzonego badacza starych pamiątek, a zapamiętałego miłośnika Torunia wyszła obecnie pięknie ilustrowana książka p. t. „Najciekawsze osobliwości m. Torunia z dawnych i naszych czasów" (Toruń, nakł. Józefa Landowskiego). Jest to zbiór fejletonów (przeważnie drukowanych w „Ilustracji" i „Mestwinie"), napisanych barwnie, żywo, zajmująco. Od Kopernika się zaczyna, na deser kończy się piernikiem. Kapitalny jest rozdział o dwóch kamienicach Kopernika: „polskiej" i „niemieckiej", z których autentyczną okazała się tylko pierwsza; szkoda tylko, że autor nie wspomniał o fortelu, z którego pomocą kamienica ta wróciła w ręce polskie (w r. 1923). Ciekawe są dzieje słynnego dzwonu „*Tuba Dei*", który Grabińskiego natchnął do napisania najlepszych roz

działów powieści „Klasztor i morze“. A ot i inna osobliwość Torunia — jedyna w Polsce Krzywa Wieża, pozostałość dawnych fortyfikacyj; innym ich szczątkiem jest równie słynny „Dansker“, ustęp krzyżacki, nazwany na pamiątkę nienawiści do Gdańszczan... a nader romantycznie położony. Groteskowy kontrast piękna przyrody z przeznaczeniem miejsca daje też dawny plac kaźni, zwany przez ironję Wiesołki (jak w Krakowie na Wesołej są same szpitale i cmentarze!). Ale niezapomniane wrażenie daje miłośnikom pięknej przyrody „Kępa Bazarowa“, czarowna wyspa na Wiśle, zasługująca na to, by zaliczyć ją do rezerwatów, zwłaszcza że miejsce to sławne w historji (traktat toruński). Z zabytków Torunia szczególnie poetyczny i pamiątkowy jest kościół N. Marji Panny — z grobem Anny Wazówny, czarującym smętną swą samotnością, z zachwycającą amboną i organami; czuje się łzę rozrzewnienia u autora, gdy mówi o tych skarbach. A już humorem drgają dwie opowieści o „grubej Marynie“ i „modrym fartuszku“ — prawdziwe to perły stylu, jakby wskrzeszające tradycję Łozińskiego czy Szajnochy. — Przypuszczać należy, że p. Sydow na tem pracy swej nie skończy: wszak tyle dałoby się jeszcze opowiedzieć o kościołach św. Jana i Jakóba, o życiu flisaków, o mieszczkach toruńskich! (J. B.)

*

Wrażenia z pobytu w Ameryce d-ra Aleksandra Szczepańskiego „Drapacze i śmietniki“, str. 269, wyd. „Rój“ napisane są nadzwyczaj interesująco. Mówią o wszystkiem, o burmistrzach, policji i bandytach, o kuchni amerykańskiej, klubach i sektach, drogach dla samochodów, śmietnikach, na które wartki prąd życia wyrzuca nadpsute maszyny i auta, o rolnictwie i przemyśle, o handlu. Ale w znacznej części przedstawiają stan organizacji i gospodarstwa tamtejszych Polaków. Autor znakomitego studjum „Górny Śląsk“ przebywał w Ameryce na stanowisku konsula, i podobnie jak w studjum o Śląsku, z talentem narracyjnym, rzeczowo i wyczerpująco, zobrazował życie naszej emigracji za oceanem. Dobrobyt, praca różnych związków i działaczów narodowych, nawiązują serdeczną nić z ojczyzną, nie tylko przez stroje krakowskie na obchodach i ostatnio zbiorowe wycieczki do Polski, ale w szkole i prasie przez kult mowy ojczystej i historycznej przeszłości. Fundacja kościuszkowska daje stypendja studentom, rdzennym Amerykanom, dla kształcenia się w Polsce, przeważnie w Krakowie, co już przejawiło się w szeregu naukowych o Polsce studjach. Także zapoczątkowała ta fundacja przyjazdy uczonych z Polski do Stanów Zjednoczonych. Wykłady prof. Dyboskiego wzbudziły szeroki rozgłos i entuzjazm. Stale też hasłem nowoczesnej sztuki polskiej są nazwiska Sienkiewicza i Paderewskiego. Podatnym gruntem do zachowania łączności z krajem były jeszcze przed wojną przyjazdy chłopów na roboty w fabrykach i po latach powrót do domu, powtarzające się nieraz kilkakrotnie. Jak również ochotniczy udział Polaków w wojnie światowej, dziś, niestety, finansowo ze smutnym dla uczestników, inwalidów, rezultatem, gdyż nie otrzymują inwalidzkiej renty jako obywatele amerykańscy, jako że w wojnie stanowili osobną polską jednostkę wojskową. Inny typ stanowią Polacy, przywiązani całem sercem do wspomnień narodowych, ale już nie mówiący po polsku, zamieszkali w osadach o manifestacyjnych nazwach, Kościuszko, Częstochowa, Panna Marja, Święta Jadwiga, wśród puszcz Texasu, Nebraski, Wisconsinu i Dakoty, bez polskich szkół i parafij. Zresztą parafje, gdzie są, to przeważnie pod opieką nieżyczliwych biskupów irlandzkich. Zaś opieka konsulatów, bez odpowiednich środków finansowych ogranicza się do działalności prawie wyłącznie formalnej.

(A. W.)

TEATR

SZKOŁA GENJUSZÓW

SATYRA na fabrykowanie genjuszów bardzo się należała Warszawie, zwłaszcza tej dzielnicy, do której należy sam p. Anatol Stern. On właśnie napisał taką satyrę w formie komedji p. t. „Szkoła genjuszów“, wystawionej teraz w teatrze Letnim.

Sam teatr, wystawiający sztukę, ma w sobie coś z tej szkoły, skoro do afisza dołączył pochwałę autora w słowach: „Świetny liryk, jeden z najciekawszych pisarzów młodego pokolenia i współtwórca t. zw. nowej sztuki w Polsce...“ Także genjusz. Słyszeliśmy o p. Stern, że miał jakąś sprawę o bluźnierstwa, popełniane w „lirykach“, widywaliśmy jego nazwisko w „Wiadomościach Literackich“. Musi być „ciekawy“, (ale i niedyskretny), skoro, za kulisy redakcyjne zajrzawszy, opisuje i na śmiech wystawia tajemnice, w jaki sposób — przy subsydjach — robi się w Warszawie genjuszów z analfabetów, nawet złodziei, utalentowanych zaś ludzi jak się grzebie.

Trudno wytrzymać w atmosferze literackiej, którą p. Anatol Stern przedstawia. Panuje tam etyka, obyczaj i humor zupełnie żydowski; i szkoda, że autor uczynił z tego grona towarzystwo polskie, niczem nie zaznaczając prawdziwego charakteru sfery, skąd czerpał materjał.

Pani domu (Duszkowa), żona redaktora „Laurów Codziennych“ powiada do swego kochanka, jednego z genjuszów: „Pan myśli, że gdybym pana kochała, to byłabym pańską kochanką?“ A później do tejże pani mówi mąż: „Ja wiem, że ty mnie zdradzasz. Czy ty myślisz, że gdybym cię nie kochał tak, jak kocham, tobym ci na to pozwolił!“ Bo co komu szkodzi rozrywka seksualna?—jest to sprawa niezależna od miłości. Pani redaktorowa powiedziała w rozdrażnieniu do współpracownika: „Pan mówi o miłości. Jaka tam miłość, nasz stosunek to poprostu codziennie kwadrans gimnastyki...“ Pani redaktorowa jest snobką do tego stopnia, że kochając (?) męża, o czem świadczyłoby, że oddała mu do dyspozycji swój posag, któregoś poranku sypie do nowego współpracownika (genjusza), zawodowego złodzieja, żeby mu się oddać, bo ma taki „kompleks psychiczny“, że musi mieć tę satysfakcję i odrazu się rozbiera.

To nieprawda. W polskim domu literackim takiej atmosfery, takich obyczajów, takich pomyśleń, takiego języka niema. Takiej rzeczy chciałoby się uczyć Polaków w teatrze. To jest niesumienność literacka i reżyserska. Trzeba było sferę wyraźnie zaznaczyć.

Satyra niedokładnie zaadresowana i to umyślnie. Po poprawieniu adresu miałaby może rację bytu, zwłaszcza w tym czasie, gdy jutro z mgieł nocnych mają się wyłonić Himalaje naszej literatury z najwyższemi szczytami prawdziwego genjuszu, urzędownie patentowanego.

Komedja odegrana była starannie. W roli zapoznanego pisarza odznaczył się talentem p. Znicz.

Co do roboty literackiej, oprócz niewybredności smaku zarzucić można autorowi, że swoją siłę twórczą trzyma w zbytniej zależności od pamięci, od tego, co już widział na scenie. Utwór wskutek tego mieni się od kawałków już znanych, wygładzonych działaniem czasu, ale nie przetrawionych. W.

MUZYKA

WIELKIEM świętem muzyki polskiej stał się koncert, poświęcony twórczości Karola Szymanowskiego, urządzony dnia 13 października w sali Filharmonji z okazji pięćdziosiecioletniej rocznicy jego urodzin. Długotrwałe oklaski na cześć kompozytora były tak rzadkim dzisiaj objawem szczerego i niezorganizowanego entuzjazmu, wyrosłego przedewszystkiem z poczucia dumy i wdzięczności za doznawane tylekroć wzruszenia.

Program koncertu zawierał „IV-tą Symfonię“, przyczem zaznaczyć należy że partję fortepianową wykonał sam kompozytor, pieśni Hafisa, wyjątki z „Litanji“ oraz „Harnasie“ — uzupełnieniem tego był bezwzględnie „II-gi Koncert skrzypcowy“, wykonany tydzień przedtem, wypełnił on tę lukę, jaką sprawiał w programie brak utworu, napisanego na skrzypce, które tyle Szymanowskiemu mają do zawdzięczenia. Widać z tego, że program nie był układany z myślą zilustrowania poszczególnych okresów twórczości kompozytora — wszystkie bowiem utwory, oprócz pieśni Hafisa, należą du okresu ostatniego.

Trudno jest w drobnym szkicu charakteryzować ten okres. Niepodobna jest pisać o nim w oderwaniu do całego poprzedniego dorobku artysty. Należałoby nawet sięgnąć w przeszłość dalszą od daty ukazania się pierwszych dziewięciu preludjów.

Po raz pierwszy wykonano w piątek dwa wyjątki z „Litanji“. Temat religijny, niewyczerpane źródło najgłębszych, najmocniejszych i najbardziej zarazem subtelnych

przeżyć i stanów wewnętrznych, opartych na uczuciu człowieka do Boga, zawsze był blizki Szymanowskiemu. Ten to właśnie pierwiastek uczucia, cechujący wyraźnie samą naturę kompozytora, szukał poprzez całą jego twórczość drogi, któraby mu pozwoliła najpełniej się wypowiedzieć. Był on również i podłożem „Litanji". Wyraz jego jest tu jednak inny, aniżeli w napisanej przed laty pokrewnej pieśni „Święty Boże" do słów Kasprowicza, w której grał on rolę dominującą; „Litanja" jest wyrazem nie tylko samego uczucia, ale i jego formy — modlitwy. To wydobycie charakteru całej kunsztownej i wyszukanej oprawy, w którą pospolite żale, lamenty i zachwycenia ludzkie ujęły gdzieś u początku kanony kościelne, a które przez ciągłe śpiewanie od niepamiętanych czasów stały się podobne owej figurze Świętego Jana, przybranego w szaty liturgiczne, który poprzez barokowe ołtarze zeszedł nad drogi i stał się świątkiem, tym zwyczajnym świątkiem, zastanawiającym siłą swej bezpośredniości, będącej cechą jedynie istotnej wiary — było tu celem i zadaniem wysiłku twórczego.

Dlatego „Litania" jest dalszym ciągiem „Mazurków", IV-tej symfonji, „Harnasiów". Jest nowym przejawem czerpania z bogactwa narodowego w jego nieskażonych pokładach wierzeń i instynktów.

Słowa Jerzego Lieberta nie podkreślają charakterystycznej strony muzycznej; przez swą pretensjonalność nie są z nią nawet spojone.

Odtwórczynią pieśni była pani Stanisława Szymanowska. W sztuce jej interpretacji tkwi ta sama kultura, której zawdzięczamy twórczość kompozytorską brata.

W. NARUSZ

FILM

CASINO: „Dwanaście krzeseł" reż. Mac Friz i M. Waszyński

Ta pierwsza próba współpracy filmowców naszych z Czechami dała w rezultacie film gorszy od wielu czeskich i nie lepszy od wielu polskich. A scenarjusz mieli przecież wcale niezły! Wzięto go z pomysłowej opowieści sowieckich autorów „12 krzeseł", Ilfa i Pietrowa. Przygody jegomościa, który gania w poszukiwaniu tuzina krzeseł, bo w jednem z nich ukryto skarb, to kanwa dla utworu filmowego bardzo podatna. Cóż, kiedy nie wyszyto na niej nic zajmującego. Komedja ma bardzo mało dowcipu i to pośledniej jakości. Dowcip gadany i w filmie mówionym, nie decyduje o jego wartości. Także nawet najbardziej ucieszne błaznowanie utalentowanych aktorów (scena seansu spirytystycznego) nic nie mówi o wyobraźni reżyserskiej. Najwłaściwszym dla filmu jest dowcip, wynikający nie ze słów, ani z gestykulacji, lub mimiki, tylko z sytuacji — dowcip sytuacyjny. A tego tu na lekarstwo.

Z zakończenia komedji wyłania się niespodziewanie pewien sens moralny, którego również nie umiano właściwie podkreślić. Dwaj poszukiwacze skarbu (Dymsza i Burian), zziajani węszeniem po całej Polsce, wkońcu natrafiają na scenę uroczystego otwarcia nowego sierocińca, zbudowanego właśnie za pieniądze, których tak długo szukali. Dowiedziawszy się o tem, odchodzą zrezygnowani w dal (bo tak „stało" w „Cyrku" Chaplina i „Niech żyje wolność" Claira).

A przecież nic łatwiejszego było jak zakończyć film szczerą uciechą obu poszukiwaczy, że mamona, za którą tak uporczywie się uganiali dla osobistych korzyści, znalazła tak szlachetne zastosowanie. Dwaj kawalarze mogli nawet wmówić w protektorkę sierocińca, że to oni są tym nieznanym dobroczyńcą, który zawiesił krzesełko ze skarbem na drzwiach przytułku.

Zaletą filmu jest ruch i przerzucanie akcji z miejsca na miejsce.

Pogorzelska nieodpowiednio obsadzona.

STYLOWY „Kawalkada".

Zaletą tego inteligentnego utworu jest użycie najwłaściwszego dla filmu tworzywa, nie aktora i aktorki, którzy się popisują, wysunięci na pierwszy (i jedyny właściwie) plan, a tłumu, szarej masy, zbiorowiska ludzkiego, żywiołu, którym reżyser kieruje z ukrycia. Ponieważ są to dzieje rodziny angielskiej, ukazanej na tle historji tego kraju, od czasów królowej Wiktorji, więc widzimy również i sceny dwu-trój-osobowe, obok scen zbiorowych, ale nie należą one do najciekawszych, bo tu siłą rzeczy przeważa djalog, gdy w scenach zbiorowych — obraz i ruch. Jest tu i miłość młodych, ale na szczęście, jak i w życiu, zajmuje miejsce odpowiednie przy wielu innych sprawach ludzkich. Podobne poczucie proporcji na filmie dość rzadko się zdarza. Wyrazistość wielu momentów zbiorowych podkreślona jest subtelną powściągliwością użytych po temu środków.

Do filmu wpleciono nutkę pacyfizmu. Matka, rozpaczająca za każdym razem, gdy mężczyźni rodziny idą na wojnę, protestuje przeciw bezmyślnemu barbarzyństwu walki. Ponieważ nasze matki wiedziały nieraz, za jaką sprawę walczą synowie, dla nas pojęcie walki nie zawsze utożsamia się z ukazywanem na filmie. Stąd też ten argument pacyfistyczny, dla mnie przynajmniej, wypadł dość blado.

Pozatem, film warto obejrzeć.

KANDYD

W ROZMÓWNICY

Historycy literatury zostali zaalarmowani notatką w nr. 1 (okazowym) „Pionu" o tem, że 15 sierpnia r. b. minęła setna rocznica śmierci Tennysona. Notatka brzmiała w ten sposób.

„Stuletnia [po polsku byłoby: setna] rocznica śmierci Artura Henryka Tennysona, poety angielskiego, który umarł dn. 15 sierpnia 1833 w Wiedniu, skierowała ku jego twórczości zainteresowania krytyki. Tennyson skończył swą poetycką karjerę wówczas, gdy inni ją dopiero zaczynają. Umarł, mając zaledwie 23 lata. Przecież twórczość jego budzi podziw wspaniałą, błyskotliwą techniką pisarską. A trzeba wiedzieć, że należał on do tych autorów, którzy wracali do dawnych utworów, poprawiając i oszlifowując".

Zapytany przez nas znawca literatury angielskiej pisze nam co następuje:

„Słyszałem to i owo o lordzie Alfredzie Tennysonie, a nawet o jego dwóch braciach, którzy również byli poetami i włączyli pewne utwory do jego pierwszego zbiorku. Ale Artur Henryk Tennyson... budzi podziw.

W r. 1833 umarł w Wiedniu Artur Henryk Hallam, syn wybitnego historyka i przyjaciel Alfreda Tennysona, wielkiego poety wiktorjańskiego, który syt chwały i ozdobiony tytułem lorda, zmarł w r. 1892. Sławny jego filozoficzny poemat *„In memoriam"* poświęcony jest pamięci Hallama i pierwotnie miał być tylko elegją pośmiertną dla kolegi z Cambridge i członka grupy przyjaciół, z której wyszło jeszcze paru sławnych ludzi epoki wiktorjańskiej. Hallam rzeczywiście pisał i po jego zgonie wydano pozostałe po nim wiersze, świadczące o dużych zdolnościach, z tem wszystkiem jednak historje literatury wymieniają go tylko z powodu *„In memoriam"*. Zwyczaj poprawiania i szlifowania swych poezyj miał Alfred Tennyson i widać to z poszczególnych wydań jego utworów.

Z tego materjału faktycznego zrobił ktoś, nie mający najwidoczniej ani najsłabszego pojęcia o literaturze angielskiej prawdziwy bigos hultajski. Może zresztą jakiś żartowniś wziął go na fundusz. W każdym razie nie sprawdziło się tu przysłowie pana Jowialskiego: „Przybądź szczęście, rozum będzie". Autor dostał posadę w piśmie, „opartem na trwałych podstawach finansowych", wszedł między upaństwowione literaty — i popisał brednie".

Cóż do tego dodać? Przy nazwisku wydawcy „Pionu" figurują słowa „za Towarzystwo Kultury i Oświaty". Naprawdę, takiej kultury i oświaty, jakiej próbkę dały „Notatki" szerzyć niewarto. Szkoda na to „trwałych podstaw finansowych". Dawne sposoby były stanowczo skuteczniejsze.

NOWE KSIĄŻKI.

Dmowski Roman. Myśli nowoczesnego Polaka, wyd. IV uzupełnione. Warsz. 1933. Nakładem Kom. Wyd. Skład gł. w adm. Gazety Warsz. (Cena zł. 5). Str. XLIII i 296.

Nauka Polska. Potrzeby, organizacja i rozwój. T. XVII. Wydaw. Kasy im. Mianowskiego. Str. 403.

Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszły w bibljotece dla młodzieży „Polska i świat współczesny":

Sławój-Składkowski F. gen. Gdzie widziałem komendanta, nim Polskę wywalczył?

Lipiński Wacław. Wojna polska, 1918—1920.

Nowakowski Zygmunt. Puhar Krakowa.

Morcinek Gustaw. W zadymionem słońcu.

Grotowski Marjan. Źródła światła.

Szelburg-Zarembina E. Dom wielki jak świat.

Meissner Janusz. Żwirko i Wigura.

Boguszewska Helena. Czerwone węże.

Don Levine I. Stalin, mąż ze stali. 1933. Płomień.

Danilewiczowa Marja. Tymon Zaborowski. Życie i twórczość (1799 — 1828). Warsz. 1933. Kasa im. Mianowskiego. S. 267. Z portretem.

OFENSYWA

ABA i PESA

DWA miesiące temu, przed nowym sezonem politycznym, z okazji komunistycznego procesu białoruskiego (w Kobryniu) udało się adwokatom, broniącym oskarżonych (pp. Winawerowi i Benkelowi) poruszyć dla swej sprawy także grupę literatów. Ni stąd ni zowąd pojawił się w dziennikach protest i apel. Było i bywało przed tą sprawą moc, kilkaset, kilka tysięcy spraw komunistycznych, w których surowe, ciężkie kary groziły i spadały na elementy czasem bardzo młodociane i literaty nie protestowały, jako że wogóle przeważnie jak myszy pod miotłą... Ni stąd ni zowąd protest, a pod protestem obok nazwisk takich, którzy coś kiedyś przecierpieli, o coś kiedyś walczyli dla Polski i dla państwa coś zdziałali, także nazwiska majsterków, klecących sobie po kącikach swe nadwiślańsko - oglorjowane arcydziełka, z polskością tem tylko związane, że w polskim języku „ściubolone". Całe lata siedzący sobie w swych alkowach kunsztarze i „goljardzi" ni stąd ni zowąd rozgorzeli raptownie socjalno-humanitarnie z powodu bolszewizujących niezgrabnie Białorusinów, zaagitowanych przez jakąś ognistą semitkę Reginę Kapłan. Ta to kapłanka przerwała sen na laurach i bobkach domorosłym magom i magistrom, idącym już całkiem jawnie na rządową orjentację i utrzymanie i korzystającym z okazji, aby najtańszym kosztem (z odstawą do domu) zamanifestować przed społeczeństwem (lewicowem) swój humanitaryzm, swoją „odwagę cywilną", swoje sumienie socjalne. Przy Brzeskiej sprawie te kabotyny pochowali się w mysie dziury, przy sprawie Kapłanówna et Comp wystąpili horoicznie z protestem, wiedząc, że taki gest nic ich nie kosztuje i żadnych konsekwencyj nie pociągnie, a swój efekt zrobi.

Ot, drobnomieszczuszki, sklepiczarczyki, grajzlerkarze utalentowane, ot Polaczyszki, choć tam i z Niemczyków conieco. Za komunistami niby to się wstawiają a sami archi-typy burżujskiej kultury i literatury i etyki; gdyby co do czego przyszło, nosaby z za firanki nie wychylili na ulicę, dopókiby garnizon nie zrobił porządku z kramołą i nie nastał spokój nieodzowny dla ich unormowanej, cyzelerskiej nieco belferskiej, a nieco rzemieślniczej, warsztatowej twórczości... Takich spraw komunistycznych mamy w Polskich sądach stosunkowo znacznie więcej niż gdzieindziej. Czy ci panowie Parnasiści mają zamiar i w innych kłaść na szalę ciężar swych nazwisk, sławnych od Wisły aż po Prypeć i Wartę? Dlaczegóż nie zabierali głosu po odkryciu jaczejki Nechemiasza Okręta et Comp? A czy zamierzają zabrać głos ważki przy rozprawie Lampego, w którego kompanji K. P. T. były przecież i Dina Hayman i Irena Rosenberg, „łącznikowe" z Zachodnią Białorusią i Ukrainą? Czy nie powinni się zainteresować skazaną na rok, 16-letnią Łają Czarną? A sprawą Estery Małej z Mołodeczna i jej syna Gedale Małego? A czy komunistka Sara Rosset nie zasłużyła na takie współczucie jak ich Regina Kapłan? A w grupie tarnopolskich komunistów były przecież Hinda Eckhaus, Salka Eckhans i Estera Sas, „techniczki", sporządzające ulotki na użytek wojska (*propagit*). Skąd tyle względów dla Reginy Kapłan, a kompletne *desinteressement* dla Estery Sas, Sary Rosset, Estery Małej, Ireny Rosenberg i t. p.?

W każdym razie dobrzeby było gdyby ci jegomoście, zgrywający się tak przed publiką i zaskarbiający sobie i tą drogą fawory *juiverie* zepoznali się jednak cokolwiek z ruchem komunistycznym w Polsce. Jeżeli zaś już czasu na to nie znajdą, to żeby przynajmniej zapoznali się z... „Gerangelem".

Co jest Gerangel?

Gerangel jest to tytuł wydanej przez żydowską „kulturligę" powieści, z której niedawno sprawozdanie zamieścił „Nasz Przegląd". Autor nazywa się z lechicka „Olicki", co prawdopodobnie jest tak samo pseudonimem, jak nazwisko „Jareckiej" Gustawy, autorki „Innych ludzi", omawianej na tem miejscu i jak się okazało semitki. Powieść Olickiego jest także propagandową, komunistyczną. Opowiada dzieje grzechów młodości takiego komsomolca polskiego i komsomałki z gatunku Sary Rosset, Estery Sas i Reginy Kapłan. On jest synem przemytnika z Wołynia i wychował się w *ghetto*, w środowisku szmuglerskiem, gdzie mógł dokładnie poznać „spróchniałe otoczenie mieszczańskie" (?), „sprzedajny świat klerykalny" (*orthodoxim*?), „dwulicowość cudotwórców". Zaczyna się podczas okupacji pruskiej. Żydzi małego miasteczka, żeby się ratować w biedzie zakładają taką bezpłatną, proletarjacką kuchnię dobroczynną i wciągają do niej Niemców. Wprowadza się więc niemieckich oficerów do zarządu kuchni w charakterze wspaniałych dobroczyńców. W rzeczywistości atoli zostali oni zwabieni wdziękami żydowskich dziewcząt Niemcy chętnie ofiarują „...*für arme und kranke Leute*". Młodzież miasteczkowa zostaje zdemoralizowana, zaś solidn obywatele mocno narzekają, mówią, że to nie jest kuchnia' jeno dom rozpusty. W takich warunkach mały Aba oczywiście, wyrasta na wyrzutka społecznego i katylinarną egzystencję już od zarania, tembardziej, że pod względem seksualnym jest jakiemś zapowiadającem się *mostrum* (Upiór z Düsselldorfu?).

Aba często nie może pokonać swej chuci. Pewnego razu usiłował zniewolić Pesę, ale spotkał się z ostrą odprawą. Dla zmycia hańby uciekł z domu i puścił się w świat. Stał się nauczycielem na wsi u gorzelnika. Tam poznaje bliżej okropności życia. Stara się zgłębić własną naturę. Miał nawet okazję być naocznym świadkiem okrutnych scen, podczas których gorzelnik gwałcił własną córkę, a syn, dla pomszczenia krzywdy siostry, udusił ojca.

Odtąd ta wizja zdegenerowanego gorzelnika, gwałcącego córkę prześladuje „przedelikaconego" ale „lubieżnego" ideowca. Abę opanowały przytłaczające halucynacje i seksualny obłęd, dopuszcza się gwałtów kazirodczych w stosunku do młodszej siostry.

Po zgwałceniu siostry przyszły bohater znów ucieka z domu („spróchniałe otoczenie mieszczańskie" przemytników i szmuglerów) i jako nauczyciel (*sic!*) dostaje się do domu chasydzkiego, do niejakiego Rudermana, gdzie „poznaje bliżej życie burżuazji żydowskiej", gdzie „razi go ich bezduszność", „przesycony dobrobyt", „beztroskie życie mieszczańskie". I tu Abe przypadkiem znajduje swoją Pesę:

> „Żeni się z Pesą i pospołu marzą o nowem życiu, gdy „proletarjat wszechświatowy musi zwyciężyć—i zwycięży"!"

Jak widzimy z referatu „Przeglądu" „Gerangel" Olickiego i warszawskiej „Kultur-Ligi" żydowskiej wykazuje, w jakich warunkach rodzą się, rosną i rozkwitają nasi agitatorzy i agitatorki, komso-małki komunistyczne.

Nasze literaty, podpisujące się pod protestami, typy kameralne, żyjące sobie sybarytycznie w hermetycznie zamkniętych, dobrze ogrzanych w zimie gabinetach (*studio, home*) powinni koniecznie od czasu do czasu wyjść na ulice, na place, na przedmieścia, na peryferje i przypatrzeć się życiu.

Gdyby bowiem ze swym podjudzonym proletarjatem przyszli do władzy Aba i Pesa, to „protestantów" też oszczędzać nie będą.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Co jakiś czas — tak powiedział zdaje się Wyspiański — rodzi się w Polsce człowiek genjalny. Mamy na myśli Kaden-Bandrowskiego. Jest on ze szkoły wiedeńsko-galicyjskiej z przed wojny, ale jakże opatrznościowy dla Polski.

Stworzył powieść, jakiej nie było w Polsce; postawił na nogi (do pionu) prasę; powołał do życia PEN-klub, przez co otworzył okno na Europę; niczem Bogusławski stworzył nową epokę teatru polskiego; jako faktyczny prezes Tow. Muzycznego, sharmonizował z żydami polski świat muzyczny; on wreszcie teraz przy pomocy państwa kreował Akademję literacką.

Mało powiedzieć genjusz, to król duch. Jego to dusza Białemu Orłowi polskiemu przypięła rogi i czarne skrzydła. Maluczko, a nie można będzie rozpoznać dawnej Polski Mickiewicza. Cała będzie skadenizowana.

A dopiął tego wszystkiego jednym palcem, uporczywie tłukąc całe życie (górne i durne) w jeden klawisz: „posada, posada"! Już ma pięć posad płatnych. Cóż będzie, gdy zagra pełną dłonią na wyższych stanowiskach, które go czekają?

Na skwerze przed Zachętą (z czyjej że zachęty?) stanął już parkan. — Co będzie? — pytamy służbę miejską. Odpowiadają: — Pomnik genjusza.

Już wiemy, o co chodzi.

*

O frekwencji publiczności na „Sprawie Dantona" w Teatrze Polskim wyraził się ktoś, spoglądając na puste krzesła na widowni:

— Z powodzeniem tej sztuki, to jak z modą guzików przy marynarkach męskich: raz na jeden rząd, raz na dwa...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.